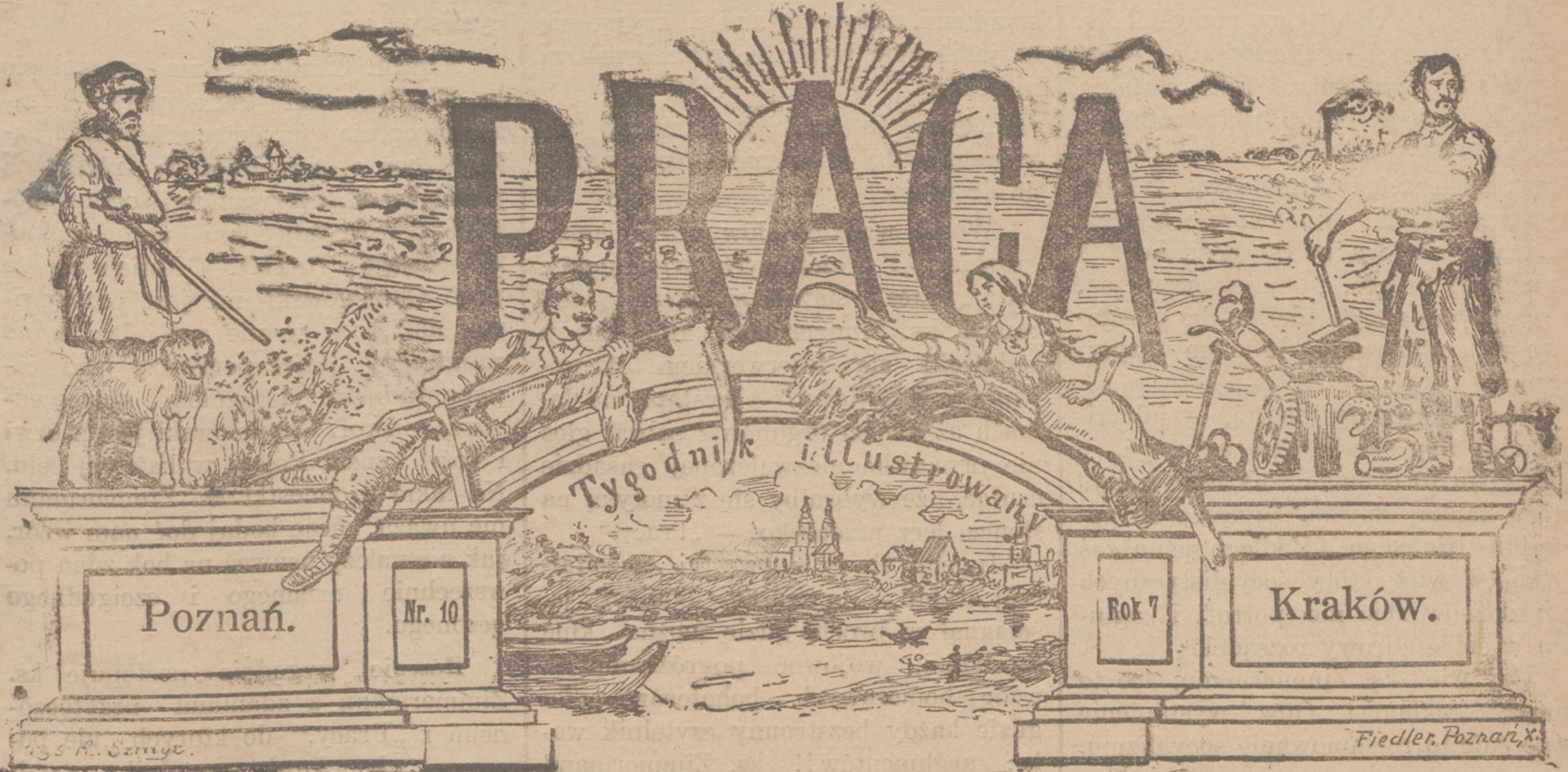
13,000 abonentów!

Nr. 10. Poznań, dnia 8 marca 1903. Rok VII.



Ks. Zimmermannowi w odpowiedzi.

Ponieważ ks. Zimmermann w dyskusyi z „Pracą" nie ograniczając się na organie przez siebie redagowanym „Ruchu" i na swym przybocznym organie „Kur. Pozn." sięgnął nawet do „Dziennika Poznańskiego, wydawca nasz przeto odpowiedział mu na łamach tegoż pisma jak następuje:

„W nr. 51 „Dziennika Poznańskiego" pojawił się artykuł, podpisany przez ks. Zimmermanna, występujący przeciwko *wydawnictwu* memu.

Ponieważ w artykule tym ks. Zimmermann, wychodząc po za ramy rzeczowej dyskusyi, staje na *osobistem* stanowisku i posuwa się nawet do groźby, jestem zniewolony odpowiedzieć *jako wydawca.*

„Praca" zajęła wyraźne stanowisko co do sposobu zwalczania socyalizmu w społeczeństwie naszem, pisząc:

„Pamiętajmy, że mniej niebezpiecznem jest, jeżeli socyalista w gronie towarzystwa zdobędzie dwóch lub trzech cichych zwolenników swych przekonań, niż kiedy głośna reklama na skutek skandalu wyrzucenia zdobywa tysiące."

Są dwa sposoby zwalczania doktryny nurtującej w łonie społeczeństw: albo bezwzględny bojkot na każdem polu (system praktykowany przeciwko nam przez Prusaków) — albo tolerowanie, nie wykluczające walki, lecz godziwymi środkami.

System pierwszy okazał się zgubnym w Niemczech w walce z socyalizmem, — system drugi odłamał socyalizmowi ostrze w Anglii.

Który z tych sposobów jest u nas praktyczniejszym, o tem trudno już dzisiaj wydać ostateczny sąd. W każdym razie wyrażone w piśmie mem zdanie, że system tolerancyi ścieśnia socyalizmowi pole do agitacyi, polega na uczciwem mojem przekonaniu, które dzieli wielu.

Nie wierzę w nieomylność polityczną i dla tego jestem zdania, że potrzebną jest dyskusya w prasie. Nie ośmieliłbym się dla tego odmawiać nikomu prawa wyrażenia własnej opinii.

Jakiem więc prawem ksiądz Zimermann *w sprawie czysto politycznej natury* grozi pismu memu bojkotem, ponieważ ono nie podziela jego zdania?

Jedną mam dla ks. Zimmermanna odpowiedź: pismo moje, które zawsze służyło rzetelnej sprawie, *ignoruje groźby bojkotu,* bo nie wolno ludziom przekonań zbaczać z drogi pod wpływem groźby.

Ks. Zimmermann kończy apostrofą do patryotyzmu „Pracy."

Może on być przekonanym, że idea patryotyzmu świętszą jest nam, niż wszystkim tym, którzy do klęsk — jakie spadły na społeczeństwo nasze, dołączyć pragną *bojkot prasy* w imię partyjno-politycznych przekonań. — Nie mamy rządu, nie mamy wolności politycznej, ale jedno przysługuje nam prawo, które Prusak okroił nam tylko, nie zabierając go zupełnie: *prawo swobody słowa.*

Marcin Biedermann,
wydawca „Pracy."

Ciągle jeszcze propaganda socyalizmu.

Już raz na tem miejscu pojawiły się słowa, które ks. Zimmermannowi powinny były dać pohop do pomyślenia nad tem co czyni. — Niestety nie wywołały zamierzonego skutku. Ks. Zimmermann wchodzi na coraz niebezpieczniejszą drogę, reklamując socyalizm coraz głośniej.

W artykule „Socyalizm a „Praca" stawia twierdzenie, iż robotnik nasz,

w zetknięciu z socyalizmem przyswaja sobie zaraz jego idee. Nad tem rozwodzi się szeroko. Czy pomyślał ks. Zimmermann co to znaczy, że przypisuje on socyalizmowi tak kolosalną moralną potęgę, iż mu nikt oprzeć się nie zdoła?! Słowa jego posłyszane przez społeczeństwo mogłyby fatalne wywrzeć skutki. Wmawianie bowiem w dusze, iż idea jakaś posiada tak straszliwą potęgę, to najskueczniejsze propagowanie tejże idei, — bo polegające na odbieraniu ludziom krytycyzmu.

My twierdzimy inaczej, — jaknajgłośniej, aby słowa jego zagłuszyć, że socyalizm to ekonomiczna teorya, nad którą nauka dawno przeszła do porządku dziennego. Podlega jemu zaś tylko człowiek który socyalistycznych paradoksów zbić nie potrafi i zagłusza w sobie zdrowy rozsądek.

Czy wie ks. Zimmermann, co to znaczy reklama? Otóż wystąpienie jego całe to reklamowanie socyalizmu. Przed fatalnym jego pierwszym artykułem socyalizm chował się u nas po kątach, przyznanie się do jego idei kompromitowało po trosze. Ks. Zimmermann stara się zrobić socyalizm modnym, po niemiecku nazywa się to „hoffähig.“ Gdyby socyaliści mieli choć nieco wdzięczności, powinni ks. Zimmermannowi pomnik wystawić.

Nie każdy zna bowiem ks. Zimmermanna, a wobec szacunku, jakim otaczamy sukienkę duchowną, przypisuje słowom jego powagę i doniosłość.

Radzimy ks. Zimmermannowi szczerze, niech nie wdaje się w sprawy, którym nie dorósł. Nie zawsze i nie wszędzie można wypowiedzieć publicznie myśl, jaka w chwilach samotnego rozmyślania przyjdzie do głowy. Czasem myśl taka zawiera w sobie *truciznę* dla społeczeństwa. — W końcu niech pisze sobie co chce w swoim „Ruchu,“ którego i tak nikt nie czyta, ale przemówić w piśmie poważnem i poczytnem to rzecz inna.

Ubolewamy tylko, że ks. Zimmermann nie pozwala zasnąć sprawie, która dawno powinna być pogrzebaną. Atakuje nas osobiście, trudno więc nam milczeć.

Vester.

W odpowiedzi na artykuł „Socyalizm a Praca.”

Trudno doprawdy pojąć jak w dyskusyi publicznej — nie mając w kołczanie ani jednej strzały, która dotknęła-by jądra kwestyi — można występować z kilku marnemi szpilkami, insynuacyami i, kryjąc się za jakiś płot, wygrażać przeciwnikowi pięścią.

Ale się to stało, a tłumaczy się rozpaczliwem położeniem przypartego do muru.

Wobec wielkich słów prof. Chmielowskiego i granitowych argumentów jakie „Praca“ stawiła w kwestyi tolerancyi, ks. Zimmermann, który zrazu zadowolił się fajerwerkiem rzeczowników w „Ruchu,“ wystąpił na łamach aż dwóch organów i zabrał głos nie przeciwko niezwalczonej zasadzie czując, że wybrałby się z motyką na słońce, lecz przeciwko — „Pracy.“

Innemi słowy z kwestyi zasadniczej zrobił — prywatną, obniżył ją, ściągnął w proch, gdzie można kłuć szpilkami, wojować pogróżkami na wzór homerowych bohaterów. Tu gdzie każdy bezstronny czytelnik woła: argumentów!! ks. Zimmermann ciska garstkę frazesów i tylko frazesów.

Zaiste śliczna broń! Szkoda, że nas ani szpilki nie mogą dosięgnąć ani groźby przerazić.

Odwagę, która nakazała-by mu zmierzyć się z nami rzeczowymi argumentami, ks. Zimmermann zastępuje tężyzną; zebrawszy szereg wyjątków z listu prof. Chmielowskiego i naszych artykułów — wyjątków oczywiście przeznaczonych ad usum delphini — nasz oponent wplótł w nie ile mógł uwag uszczypliwych, które, omijając jądro sprawy, mają zdyskredytować nas, źle do nas uprzedzić bezkrytycznego czytelnika, zaszkodzić wydawnictwu i przerazić — „Pracę.“

Więc delikatnie się czytelnikom daje do zrozumienia, że „Praca“ nie występuje pod hasłem poszanowania przekonań, lecz socyalizmu. W tym celu ks. Zimmermann uznał za stosowne zacytować nasze zdanie w swym „Ruchu“ pod rubryką „Z ruchu socyalistycznego“ obok głosu „Gazety Robotniczej.“ Z uśmiechem zaobserwowaliśmy ten manewr — którego mógł chwycić się tylko rycerz w opałach, — i odwrócili się w milczeniu.

Na szczęście „Praca“ dotrze wszędzie tam, gdzie przyboczny organ księdza Zimmermanna „Kuryer Poznański“ — tenże sam „Kuryer“, który nie tak dawno jeszcze publikował swą rozmowę z socyalistką Różą Luxemburg i wytykał młodzieży akademickiej jej brutalną nietolerancyą wobec socyalizmu (sic!). A zatem potrafimy zadać kłam insynuacyi. Zresztą czytelnikom naszym aż nadto dobrze wiadomo, że jesteśmy nieubłaganymi przeciwnikami doktryny socyalistycznej.

Z prof. Chmielowskim uporał się ks. Zimmermann także tylko — frazesem, bo, nie wywołując wilka z lasu, bąknął coś o „zasadniczych różnicach pomiędzy zapatrywaniami ogółu społeczeństwa a pojęciami uczonego pozytywisty“ (tak!!). Mniejsza, że prof. Chmielowski nie jest pozytywistą, mniejsza, że nie zachodzą *żadne zasadnicze różnice* pomiędzy jego zapatrywaniami a ogółem społeczeństwa, że prof. Chmielowski jest z krwi i kości synem Polski w każdym celu. Na takie drobnostki ks. Zimmermann nie uważa, chcąc bodaj dać nam wzór, jak *nie* należy usuwać na bok zdań powszechnie uznanego i czcigodnego uczonego.

Równie wygodnie postępuje ks. Zimmermann z zdaniami przytoczonemi z „Pracy,“ do których „nie powraca,“ bo „każdy czytelnik rozsądny (!) sam dosadnio je napiętnuje.“ Ale ks. Zimmermann zapomina, że to on sam jako inicyator krucyaty przeciwko Czytelni kobiet i zwolennik ostracyzmu dla przekonań powinien rozprawić się z zdaniami „Pracy“ i — jeżeli chce i zdoła — napiętnować je. Wtedy dopiero mógłby oczekiwać może, że „rozsądny“ czytelnik przychyli się do jego zapatrywania. Tymczasem ks. Zimmermann gładzi czytelnika pod brodę, nazywając go „rozsądnym,“ w nadziei, że tenże wyręczy go w tem herkulesowem zadaniu albo raczej przysięgać będzie na słowo magistra. Musiałby to być zaiste bardzo *„rozsądny“* czytelnik!...

Atoli koroną artykułu są — *groźby!* Niby dyktator ks. Zim. zapowiada nam uroczyście, że jeżeli „Praca“ nie „przejrzy zawczasu“ tj. nie pocznie nadskakiwać księdzu Z. to „społeczeństwo nasze musiałoby (sic!) dla własnego dobra (?!) dopełnić swego obowiązku (o! biedne, zmaltretowane słowo!) i ogólnem odwróceniem się od niej pokazać, iż się z jej przekonaniami nie solidaryzuje“ i td.

Wobec rzuconej nam rękawicy, pytamy ks. Zim. na seryo, kto dał mu mandat przemawiania imieniem całego społeczeństwa? Kto pozwolił mu z góry komenderować tem społeczeństwem przeciwko pismu, które się z nim nie godzi? Czy ks. Zim. uważa społeczeństwo za stek pionków na swej własnej szachownicy? Albo czy może ks. Zim. sądzi, że da się „Pracę“ tak snadnie wyrugować ze względów szerokich warstw jak osamotnioną kobietę z Czytelni kobiet?

„Jeżeli to prawda,“*) że ks. Zim „w najbliższym czasie znalazł-by sposobność“ do poszkodowania naszego wydawnictwa — to niechaj zdradzi swe podziemne machinacye, aby wszyscy wiedzieli, jaką to bronią walczy ks. Zim. Ale my dziś już wiemy bardzo dużo; mianowicie wiemy, że gdzie ks. Zim. nie może zwalczyć oponenta argumentem, godzi w jego kieszeń, grozi mu stratą materyalną...

Daremnie! Taki „niegodziwy“ manewr nie nakłoni nas do wyrzeczenia się zasady: szanujmy przekonania innych, nie spowoduje do zaprzedania się siebie „Pracy,“ która nie ulękła się prześladowań pruskich, procesów i strat.

A jeżeli ks. Zim. nie przebierając w środkach, będzie dalej zwalczał „Pracę,“ dlatego że nie pozwoliła sobie *zakneblować ust groźbą* — znajdzie się wpośród nie naszego społeczeństwa.

„Należy się wszakże spodziewać, że patryotyzm“ ks. Zim. „okaże się szczerym“ i sprowadzi go z śliskiej drogi, jaką wskazuje mu chwilowo ślepa namiętność.

Jednakże oświadczamy raz jeszcze z naciskiem, że *nie pozwolimy się teroryzować groźbami* i nie cofniemy się z naszego stanowiska, bo — stojąc wiernie na gruncie tradycyi pod sztandarem narodowym i krzyżem ś. wiary naszej — i wyznajemy to przekonanie, że *każdemu obywatelowi przysługuje prawo szczerego wyznania swych pojęć* a jest to kardynalnym obowiązkiem prasy, niesteroryzowanej, szczytnie pojmującej swą misyę społeczną.

Quis.

Nie tędy droga.

Koń ma cztery nogi a potknie się. Zdarza się to i człowiekowi — ale ta zachodzi tu różnica, że człowiek im rozumniejszy, tem łatwiej błąd swój poznaje i tem bardziej stara się z fałszywej drogi jak najprędzej zawrócić, aby jego skutki ograniczyć do minimum.

Chcielibyśmy przyznać ks. Zimmermanowi w podjętej przez niego krucyacie choć dobrą wolę i dobrą wiarę, nie wiemy jednak, czy już swój błąd zasadniczy i taktyczny poznał; to tylko pewna, że się jeszcze co do żadnego z nich nie cofnął i wciąż brnie dalej — nie powinien się przeto dziwić, że.... im dalej w las, tem więcej drzew. A jednak, nie tylko się dziwi, ale nawet gniewa o to, że „Praca“ ośmieliła się przeciw jego niefortunnej i szkodliwej akcyi wystąpić.

Oburzeniu swemu daje wyraz w „Kuryerze Pozn.“ Wyraz to jednak bardzo, bardzo słaby. Snać w zacietrzewieniu swem, szan. autor stracił już równowagę tak dalece, że sam przeciw sobie walczy. Przytacza bowiem całe ustępy z naszych artykułów (za co mu jesteśmy wdzięczni) a nie może się zdobyć ani na jeden argument dla ich odparcia.

Jedno tylko trzeba autorowi przyznać: że jest sobą, jest konsekwentnym (co zresztą nie jest tu zasługą, bo wypływa zapewne z poczucia niemocy). Gniewając się na „Pracę“ za wypowiedzenie przeciwnego zdania, tem samem stwierdza, że pragnąłby monopolu myśli i pióra. Chcąc za jaką bądź cenę (jak to dalej zobaczymy) zmusić nas do milczenia, zdradza się tem samem, że nie idzie mu w tej polemice o wykrycie lub zwycięztwo prawdy, ale o narzucenie swego zapatrywania bez dyskusyi. Jest to czystej wody despotyzm. Dlatego mówimy, że jest z sobą w zgodzie.

Nie podzielamy ani też nie bronimy socyalistycznych zasad, ale — powtarzamy to jeszcze raz — musimy z całą bezwzględnością bronić cywilizacyjnych zdobyczy naszych, a tem samem odpierać wszelkie zachcianki skierowane do zburzenia tych najdroższych ideałów ludzkości i żadna groźba nie zmusi nas do złożenia broni.

A w imię tej samej tolerancyi, za którą kopię kruszymy, i ks. Z. nie tylko może, ale nawet powinien zwalczać hydrę socyalizmu.

Wolno mu, a nawet ma obowiązek, słowem *miłości i rozsądku*, nawracać zbłąkane owieczki. Ale nie wolno nikomu, a tem mniej kapłanowi, używać do tego środków niedozwolonych, brutalnej przemocy, podstępu, intrygi. Prawda zbyt potężna i sama w sobie tak czysta, że nie wymaga takich środków obrony. Nieczystemi rękoma można ją tylko zbrukać. Kto więc w ten sposób chce jej bronić, ten nie tylko się myli, ale wprost krzywdę wyrządza całemu społeczeństwu, i bez ogródki można by z wielu względów takie postępowanie nazwać niepatryotycznem i sprzecznem z naszemi tradycyami.

Cześć i chwała królom naszym, którzy potrafili się oprzeć zachciankom nietolerancyi i wytrwawszy przy zasadzie tolerancyi, oszczędzili narodowi wojen religijnych; a co więcej, temu właśnie zawdzięczamy, że się u nas reformacya nie rozszerzyła. A przeciwnie, tam gdzie morze krwi rozlano rzekomo w obronie katolicyzmu — dziś luteranizm panuje.

Niechże więc ztąd ks. Z. czerpie naukę, że użycie przemocy (bez względu na jej formę) zawsze wprost przeciwne skutki wywołuje. Tembardziej więc ubolewania godnym użyty przez niego sposób walki, gdyż przez to właśnie, wbrew swym intencyom, przyczynia się do wzrostu socyalizmu.

„Czyli mnie kto chcąc czy niechcąc zabije.
Co mi po jego dobrych chęciach, kiedy ja nie żyję.“

Tak może społeczeństwo nasze powiedzieć ks. Z. opierając się na przykładach z historyi.

Naród nasz bowiem wielkim był i wysoko niósł sztandar cywilizacyi, dopóki kroczył drogą tolerancyi, która mu była przewodnią gwiazdą. Dopóki biskup Rusin spokojnie zasiadał w senacie obok biskupa katolika; dopóki duch Zygmuntów, kierując myślą narodu, chronił od prześladowania tz. różnowierców — dotąd ten naród potężny, budził szacunek w całym świecie. Ale odkąd duch nietolerancyi wziął górę nad zdrowym rozsądkiem — wrogowie nasi odetchnęli swobodniej, widząc na polskiem tak dawniej

*) Zwroty i wyrazy ujęte w cudzysłów są zaczerpnięte z arsenału autora „Socyalizm a „Praca.“ — *Quis.*

jasnem niebie łunę pożogi wojny domowej. Bunty kozackie, to pierwsza zwrotka pieśni pogrzebowej w naszym upadku. Wszak niby to wygrywaliśmy bitwy, a Wiśniowiecki całą Ukrainę krwią zalał, najeżył palami, z których tysiące głów mołojców patrzało na te mniemane tryumfy — na upadek nasz. Kozaczyzna dla nas przepadła. A cóż zyskaliśmy potem na walce z tzw. różnowiercami? Oto konfederacyę gołębiowską, która może była gwoździem do naszej trumny politycznej.

Historya, to najlepszy nauczyciel, ale, niestety, rzadko, albo nawet wcale nie korzystamy z mądrych wskazówek przeszłości — niekorzystamy z nich tak w życiu publicznem jak i prywatnem. A to zapoznawanie doświadczenia dziadów i ojców, nieraz srogo mści się na naszej skórze. Nic to jednak nie pomaga — zawsześmy nie poprawni, zawsze ci sami. Potrafimy tylko złorzeczyć przodkom, niepomni, że i nam tak samo mogą złorzeczyć przyszłe pokolenia— i nie bez słuszności może. Bo jeżeli nieraz zbyt nawet surowo bywają potępiani ci, co przed laty nie chcąc uszanować cudzych przekonań, wnosili pod strzechą zarzewie bratniej waśni — to nie mniej potępienia też godni i ci, co to czynią i teraz. Jeżeli tamtym służą okoliczności łagodzące, to dzisiejszym mąciwodom można ich odmówić, bo mają już przykłady fatalnych następstw, a w dodatku dziś, pozbawieni bytu politycznego, i mając zawieszony nad sobą miecz grożący zagładą, powinniśmy unikać wszelkiego rozdwojenia.

Nie wypływa ztąd jeszcze, aby dla miłej zgody wszystko — każdy wybryk, każdą niewczesną zachciankę — przyjmować bezkrytycznie, owszem, opozycya jest konieczną, nawet sułtan, w uznaniu tej konieczności, zamianował ją z urzędu. Tylko bowiem przez starcie zdań dochodzi się do prawdy. Bez opozycyi ludzie-by się tylko kiwali nawzajem sobie potakując — i w końcu wszystkoby usnęło, ustał by ruch umysłowy.

A tego widać pragnie ks. Z., bo chciałby nam zamknąć usta, i to w dodatku... *groźbą!* — Niech ks. Z. walczy z nami o zasady, chętnie mu dotrzymamy placu; ale on, niestety, pewno nie czując się na siłach, woli broń mniej godziwą, ale łatwiejszą, którą byle kto w jego warunkach władaćby potrafił. Słowem zapowiada nam walkę temi samemi pobocznemi środkami, jakich już z takiem powodzeniem (?) używa przeciw socyalistom wogóle, a w szczególności przeciw jednej, słabej kobiecie.

Aż nadto dobrze pojmujemy, co kryje się za tą pogróżką, że się społeczeństwo będzie musiało odwrócić od „Pracy.“ Znaczy to: zamilcz, bo możesz się spotkać z tym samym wpływem, który potrafił zrewoltować garść kobiet i dopiął celu, choć za wysoką cenę zaburzenia publicznego spokoju.

Ale raz rozwinąwszy sztandar zasady i prawdy, wytrwamy przy nim, i da Bóg, zwycięztwo będzie przy nas. Da Bóg — powtarzamy, bo On zawsze z tymi, którzy w Jego imieniu podjęli walkę w dobrej sprawie, a walczą z podniesioną przyłbicą i *godziwemi środkami*. Już sama groźba dowodzi, że ks. Z. traci grunt pod nogami, i na prostej drodze ostać się nie może, skoro się aż do takiej broni ucieka. To już smutna ostateczność, jakiej się tylko bardzo mali głową a wielcy pięścią chwytają w braku lepszych argumentów.

A naszą ufność w zwycięztwo opieramy na cudownej mocy prawdy i sile zdrowego rozsądku społeczeństwa, które aż nadto już dojrzałe, aby zrozumieć, że potępiamy *tylko sposób* prowadzenia walki z socyalizmem, nie zaś samą walkę, która dziś stała się już koniecznością. Nie wahamy się nawet uznać taktyki ks. Z. za szkodliwą, dlatego właśnie, że pomaga socyalistom, ułatwiając tym narodowym i społecznym szkodnikom propagandę wśród naszego ludu.

Ks. Z. chełpi się, że za nim kilka pism stoi, a ztąd już rokuje sobie, że i całe społeczeństwo jego szlakiem pójdzie. Jest to wprost obelgą dla naszego społeczeństwa, bo równa się przypuszczeniu, że ono stać musi na bardzo nizkim poziomie umysłowego rozwoju, a co gorsza, uczuć ludzkich.

Byłoby to smutne świadectwo, ale na szczęście, nieprawdziwe. Głos kilku pism niczego tu jeszcze nie dowodzi, bo prasa nasza, niestety, nie zawsze bywa wyrazem społeczeństwa, ale zdaniem osobistem redaktora tylko — i to często bardzo chwiejnem. Moglibyśmy to stwierdzić przykładami.

Przeciwnie, mamy prawo twierdzić że całe społeczeństwo, z wyjątkiem nielicznych fanatyków i zależnych, jest tu właśnie z nami i łączy się do ogólnego chóru oburzenia, które się nawet tam już objawia, gdzieby się tego najmniej można było spodziewać. I nic dziwnego, bo taka to już poczciwa natura ludzka, że człowiek normalny przy zdrowych zmysłach, a w którym wychowanie estetyczne rozwinęło zarazem i popędy szlachetne, brzydzi się każdym czynem brzydkim i zawsze staje po stronie uciśnionego. I tak jest dobrze. A gdyby było inaczej, przyszłoby chyba zwątpić, że człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga. W tem zaś najwydatniej się to podobieństwo okazuje. Bo czyż Chrystus Pan nie stawał w obronie uciśnionych i słabych? Jego zaś wyznawca powinien Mistrza swego we wszystkiem naśladować. A na szczęście u nas jeszcze aż nadto tej lepszej cząstki prawdziwego człowieczeństwa, aby nie utracić prawa do nazwy narodu cywilizowanego.

Jest to zresztą w naszem położeniu bardzo naturalny objaw, bo sami słabi, sami łaknący sympatyi, tem bardziej potrafimy się oburzać każdą krzywdą, a zwłaszcza krzywdą wyrządzoną słabszemu — czy to ubogim lub kalece, czy dzieciom lub kobiecie. Choćby nawet ten pokrzywdzony był win-

nym, to aureola, jaką go doznana krzywda otacza, każe ludziom szlachetnym o jego winie zapomnieć. Nawet znęcanie się nad bezbronnym zbrodniarzem w kajdanach, musi wywołać oburzenie każdego człowieka po ludzku czującego.

Poznańczyk.

O polską sprawę chodzi, panowie!

Z wielką a szczerą radością, ba! z prawdziwym nawet zapałem powitaliśmy wiadomość o zawiązaniu się polskiego „*Towarzystwa wyborczego*" na Ślązku. Widzieliśmy w niem bowiem pierwsze a może najważniejsze ogniwo organizacyi narodowej w tej dzielnicy — organizacyi, któraby wyjęła kierownictwo sprawy z rąk jednostek, nie zawsze do tego powołanych i uzdolnionych, a wskutek tego częściej ulegających rozmaitym błędom, niż oparte na szerokiej a legalnej podstawie ciała zbiorowe. O organizacyi takiej myśleliśmy już, rozpoczynając przed dwoma laty *naszą* akcyą polityczno narodową na Ślązku. W ostatnim zaś czasie stała się ona tem bardziej potrzebna, nawet wprost konieczna, ponieważ wskutek pojawienia się nowych bojowników i nowych haseł na Ślązku — zanosiło się tam na szkodliwe dla sprawy spory osobiste. Mniemaliśmy tedy, że nowa organizacya zdoła im zapobiedz, że skupi w sobie wszystkie czynniki, dążące do ostatecznego i zupełnego odzyskania Ślązka dla Polski, że nada dążnościom ich *jednolity*, racyonalny kierunek.

Tymczasem już po kilku tygodniach przekonaliśmy się z żalem, że „Towarzystwo wyborcze" celu tego nie osiągnęło, że nie zdołało przyciągnąć ku sobie starszych bojowników za sprawę polską na Ślązku, że tem samem nie zdoła usunąć grożących rozterek i niesnasek. I wówczas to zaapelowaliśmy, niestety bez skutku, do wybitnych posłów naszych o pośrednictwo i rozjemstwo. Z chwilą zaś, gdy „Towarzystwo" to ogłosiło swą listę kandydatów na posłów, stało się nam jasnem, że przeciwności jeszcze się pogłębić muszą i że wojna domowa z wszelkiemi swemi zgubnemi następstwami stanie się wręcz nieuniknioną. I z tej też jedynie przyczyny przyjęliśmy listę kandydatów „Towarzystwa" z pewnemi zastrzeżeniami.

Że zaś te zastrzeżenia i obawy nasze były słuszne, to pokazała zaraz polemika, jaka się wywiązała właśnie z powodu niektórych kandydatów „Towarzystwa" między jego organem „Górnoślązakiem" a „Katolikiem". Polemika ta przybrała od razu przykry, poniekąd wprost wstrętny charakter kłótni *osobistej* między redaktorami pism przeciwnych: p. *Napieralskim a* p. *Korfantym.* Zdawać by się mogło, że „Towarzystwo" znikło już z widowni, a wraz z niem sprawa polska, że chodzi już tylko o te dwie *osobistości.*

Całe łamy, całe niemal stronnice obu tych pism zajmują dziś tylko rozstrząsania i spory na temat, który z kandydatów w okręgu *bytomskim* jest lepszy, kandydat „Katolika" górnik p. *Królik**) czy p. *Korfa ty*, który z nich posiada odpowiedniejsze kwalifikacye na posła i daje większą gwarancyą, że dobrze będzie bronił spraw polskiego ludu ślązkiego. A w kłótni tej „Katolik" w stokroć korzystniejszem znajduje się położeniu, bo broni osoby trzeciej, stojącej po za jego redakcyą, podczas gdy „Górnoślązak" musi kruszyć kopię za własnym redaktorem. Innemi słowy: pan Napieralski może jeszcze z pewnym pozorem słuszności bronić idei, idei powierzenia reprezentacyi robotników robotnikowi, podczas gdy pan Korfanty *sam siebie* wychwalać i polecać musi. Nie można mu zaś przytem oszczędzić zarzutu, że czyni to w sposób niewłaściwy, zdradzający zbyt wysokie mniemanie o własnych zasługach i własnej wielkości.

Wysunięcie na kandydatów w dwóch najpewniejszych okręgach kierowników „Górnoślązaka" było *wielkim błędem ze strony „Towarzystwa wyborczego"* i dla tego też — prócz innych powodów — oświadczyliśmy się z góry przeciwko tym kandydaturom. I błąd ten zemścić się jeszcze może — niestety nietylko na tych dwóch kandydaturach, lecz także *na sprawie.*

Należało przecież unikać nawet cienia podejrzenia, że wchodzą tu w grę obok celów polityczno narodowych także interesy lub cele *osobiste*. Od tego był zawisłym rezultat walki. Właśnie zwalczając dyktaturę *redaktora i pisma* — należało zwalczać ją wyłącznie względami na dobro *sprawy* oraz idei. Zamiast tego zaś wysunięto na plan pierwszy niemal *również redaktorów i pismo*, przez co do umysłów i serc ludu otwarto przystęp podejrzenia, iż obok sprawy chodzi tu także o *interes konkurencyjny, o proste współzawodnictwo osób.*

Podejrzenie to rozbudza dziś „Katolik" w sposób nie piękny ale bardzo przebiegły. „Patrzcie!" woła do wyborców — „my pragniemy tylko *waszego* dobra, wywalczyliśmy u centrum kandydaturę *jednego z pośród was*, kandydaturę męża z ludu, czem dajemy wam dowód zupełnej bezinteresowności; panu Korfantemu zaś chodzi tylko o to, ażeby *sam* mógł się wynieść na krzesło poselskie, odgrywać wielką rolę." A wyborcy nie musieliby być *ludźmi*, gdyby im ten argument nie miał trafić do przekonania — jeźli zaś już nie wszystkim, to w każdym razie znacznej ich części. I co z tego wynikło? Oto zdyskredytowanie intencyi „Towarzystwa wyborczego," spaczenie jego położenia, *tryumf Katolika i centrowców a w końcu — szkoda dla idei i sprawy naszej:*

Było to dotychczas wielką siłą polskich redaktorów górnośląskich, że zadawalali się *pracą* — anie sięgali po godności i zaszczyty publiczne i w *tem mieści się po iekąd tajemnica wielkiego powodzenia ich pracy. System ten został teraz przełamany* i to przełamany przez redaktorów *najmłodszych*, którzy nie zdali jeszcze dostatecznego egzaminu, że sprostają obowiązkom, które pragną wziąść na swe barki. Kilkomiesięczne — nawet powodzeniem uwieńczone — redagowanie i wydawanie pisma nie jest jeszcze dostatecznym na to dowodem. Jest to zwykła wada nowych, młodych pracowników na niwie publicznej, że lekceważą zasługi starszych ignorują pracę tych, którzy dawno już przed nimi działali, a mniemają, że oni dopiero rozpoczynają właściwą pracę, właściwe zadanie. Pokazało się to dobitnie właśnie w tym wypadku i kto wie, czy to właśnie nie jest jedna z głównych przyczyn dzisiejszego rozdwojenia na Ślązku.

Ubolewać więc trzeba nad błędem jaki popełniło „Towarzy-

*) W ostatnich dniach centrum, nie godząc się na tego kandydata „Katolika", postawiło w jego miejsce p. *Letochę*, przez co „Katolik" poniósł dotkliwą porażkę. (patrz Przegl).

stwo wyborcze“ przez wysunięcie tych dwóch kandydatur niemal na plan pierwszy, gdyż przez to zaszkodziło samo sobie, a zaszkodzić może sprawie. Stojąc otwarcie po *jego* stronie, mianowicie po stronie *idei*, jaką reprezentować pragnie, tem śmielej wypowiedzieć możemy tę naszą uwagę. Oby zaś bliska już przyszłość nie przyznała nam i pod tym względem słuszności; nie pragniemy tego, o nie chcemy, aby owa *idea* poniosła szkodę. Błąd popełniony może być zresztą jeszcze naprawiony przez rezygnacyą obu tych kandydatów. Przecież nie braknie już na Ślązku ludzi, którzy ich zastąpić mogą!

Opatrzność naprawdę czuwa nad nami. Dzięki jej zrządzeniu powstał teraz na Ślązku nowy organ, „Głos ślązki,“ założony przez p. *Siemianowskiego*. Organ ten już pierwszym swym numerem dowiódł, że pojmuje lepiej sytuacyą i jej postulaty, niż „*Górnoślązak*“. Niema w nim niepotrzebnej polemiki, niema samochwalby, — lecz jest tylko szczera chęć służenia sprawie. Miejmy też nadzieję, że ten organ wniesie balsam kojący na zaognione rany obustronne, że ocali dla sprawy, co się jeszcze da ocalić. Będzie on — jak sam zapowiada — zwalczał *wroga*, a unikał waśni domowej — o ile to naturalnie okaże się możliwem. Dałby Bóg, ażeby zdołał wpłynąć na położenie i losy walki, a przedewszystkiem, ażeby rozumną taktyką wskazał właściwą drogę „Towarzystwu wyborczemu.“ Nie wszystko jeszcze stracone i przy dobrej woli pracowników i rozważnej taktyce — sprawa nasza jeszcze może tryumfować przy wyborach. Nie należy tylko zapominać, *iż o nią tu tylko chodzi.*

Narodowiec.

„Wyodrębnienie Galicyi“

I.

Dzięki jednemu z profesorów galicyjskich, niedawno dopiero przez miasto *Lwów* zaszczyconemu mandatem poselskim do Rady państwa, odżyła znów pewna „kwestya“ galicyjsko-polska i znów wywołała bardzo ożywioną dyskusyę w prasie jak i na zebraniach towarzystw i klubów politycznych. Jest to kwestya *wyodrębnienia Galicyi*, wskrzesicielem jej jest zaś prof. *Głąbiński* ze Lwowa.

Piszemy: odżyła znowu. Nie jest to bowiem kwestya nowa, chociaż wiele organów opinii publicznej traktuje ją jako rzecz nową. Reprezentacya polityczna Galicyi zajmowała się nią już przed przeszło 30 laty. Zapadały w niej wówczas nawet uchwały — które atoli pozostały tylko na papierze. Później wrzucono ją do starych rupieci politycznych a chociaż od czasu do czasu pokutowała jeszcze w opinii publicznej, nikt jednak nie przypuszczał, ażeby mogła jeszcze wejść na porządek obrad w tak świeżej na pozór postaci. Konserwatywny organ krakowski tłomaczył to sobie z początku jedynie tem, że publiczność nasza *„lubi odświeżone kawałki.“* Wkrótce atoli nabrał przekonania, że wskrzeszenie tej kwestyi ma powód i cel głębszy, że ma ona odegrać rolę *hasła stronniczego* przy najbliższych wyborach w Galicyi.

Organ konserwatywny trafił w sedno. Kwestyą tę wypisało obecnie na swym sztandarze agitacyjnym stronnictwo *„wszech polskie,“* które ogarnia coraz szersze koła w Galicyi. Aby więc zrozumieć *obecną* doniosłość tej kwestyi, trzeba się wpierw przyjrzeć bliżej stronnictwu, które ją wskrzesiło i dziś za hasło swe używa.

Stronnictwo „wszechpolskie“ istniało już od dawna, lecz zaledwie wegetowało. Wzmogło się dopiero, gdy po upadku lwowskiej demokracyi z powodu znanych zajść z lwowską kasą oszczędności, część niedobitków tej demokracyi zapisała się do jego szeregów i oddała mu na usługi bardzo poczytny swój organ *„Słowo polskie.“* Reszty dokonał *strejk rolny Rusinów*. Zagrażając już nietylko egzystencyi ziemian polskich we wschodniej Galicyi, ale także egzystencyi *całej* tamtejszej ludności polskiej, roznamiętnił ją pod względem narodowym, wywołał potrzebę silnej samoobrony pod najdalej sięgającemi hasłami narodowemi i napędził szerokie koła w objęcia stronnictwa, które od początku tym hasłom hołdowało. Stwierdził to już zeszłoroczny wybór posła do Rady państwa ze Lwowa, którym wybrany został prof. Głąbiński.

I on zasługuje na to, ażebyśmy tu dali chociaż w kilku rysach wizerunek jego. Jest to profesor uniwersytetu — ekonomista, człowiek o znacznym zasobie wiedzy, żywym temperamencie i wielkiej sile pracy. Umiarkowany, i to *bardzo umiarkowany* demokrata, ożywiony szczerą chęcią służenia sprawie publicznej, a większą jeszcze ambicyą pragnie koniecznie wzbić się na wyżynę przywódzcy. Od razu też, wszedłszy do Koła polskiego — zaczął wysuwać się naprzód, w czem dopomagał mu wcale znaczny dar wymowy. Z pism codziennych znana wam jest zapewne „wielka“ jego mowa o strejku, wygłoszona w wiedeńskiej Radzie państwa w roku zeszłym, która ściągnęła na niego straszną nienawiść Rusinów i socyalnej demokracyi. Śmielszy od innych — używając banalnego frazesu — pragnie od razu wszystko i wszystkich „chwycić za czuprynę“ — nie zraża się niechęcią konserwatywnych ekscelencyi i powag w Kole i zabiera głos w każdej sprawie. Świeżo mówił w Radzie państwa także o nowej austryackiej ustawie wojskowej.

On to wskrzesił teraz także ową kwestyą *„wyodrębnienia Galicyi.“* Wydał o niej broszurę, jeździł z nią na posiedzenie krakowskiego klubu konserwatywnego, pragnąc i ten klub pozyskać dla niej. To mu się wprawdzie nie powiodło; osięgnął atoli przynajmniej to, iż także organ tego klubu *„Czas“* — który najchętniej byłby ją zbył milczeniem, zniewolony był poświęcić jej aż kilka artykułów. A dlaczego to czyni wskrzesiciel tej kwestyi?

Każde nowe lub zabierające się do nowej akcyi stronnictwo potrzebuje *nowych haseł*. W tem położeniu znajduje się także stronnictwo *„wszechpolskie.“* Ta zaś kwestya, a raczej to hasło o tyle zaś może obecnie liczyć na powodzenie, towarzyszące zwykle nowościom, ponieważ szerokie koła z powodu strejku nie są zadowolone z roli, jaką w nim odegrała *władza państwowa* i łakną formalnie *silniejszych* środków do zwalczania antipolskiego ruchu wśród Rusinów. A te środki ma im dać — *wyodrębnienie Galicyi.*

Po tym wstępie ogólnym przyjrzymy się w następnym artykule bliżej *kwestyi samej.*

Galicyanin.

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień polityczny stał pod znakiem *jubileuszu papieskiego.* Obchodzono go uroczyście w krajach katolickich — w ziemiach polskich najpierw i bardzo okazale we Lwo-

wie — a znalazł on głośne echo także w państwach i społeczeństwach protestanckich, mianowicie w ich prasie. Nie brakło tam wprawdzie i nie braknie sfer i organów, które i w takiej nawet chwili plwają jadem nienawiści i oszczerstwa na Kościół katolicki i jego Głowę, dzieje się to mianowicie w Niemczech, większość atoli innowierczych społeczeństw schyla również czoło z szacunkiem i podziwem przed tym wielkim starcem na tronie Piotrowym. A starzec ten z anielskim spokojem na twarzy, ojcowskim wzrokiem obejmuje świat cały i błogosławi zarówno owieczkom swym jak i wrogom.

Wzniosły to widok, tak wspaniały i przejmujący, że chociaż na chwilę odrywa uwagę szarej rzeszy ludów od trosk i utrapień codziennych i stawia jej przed oczy szczęście, jakieby stało się udziałem ludzkości, gdyby oto we wszystkiem szła za wskazówkami tego wybrańca Bożego. Lecz daleko jeszcze do tego; jeszcze namiętności ludzkie szaleją za nadto, jeszcze zbytnio górują nad wszelkiemi szlachetniejszemi pierwiastkami w duszy ludzkiej. Rychło też ten piękny widok zasłoni znów krwawa mgła zawiści, rozterek i walk wzajemnych narodów.

Możliwość wielkiej europejskiej zawieruchy wisi zawsze jeszcze w powietrzu z powodu *sprawy macedońskiej.* W sprawie tej ostatnie dni nie przyniosły ważniejszej zmiany, wszystko atoli zdaje się przemawiać za tem, że rok bieżący będzie jeszcze świadkiem ważnych zdarzeń. W uroczystej formie doręczyli posłowie Rosyi i Austryi sułtanowi projekt reform, jakie mają przywrócić pokój na Bałkanie, reprezentanci innych mocarstw „energicznie" go poparli, sułtan przyjął go życzliwie i jeszcze podziękował za dobre rady, przyrzekł przytem, że spełni je co do joty. Cóż, kiedy mało kto oddaje się złudzeniu, że to wystarczy do zażegnania burzy. Mimowoli, instynktownie ogarnia wszystkich uczucie, iż to lekarstwo na grożące komplikacye w suchotniczym „stanie pokojowym" przychodzi już *za późno,* że już pokoju ocalić nie zdoła.

Zanadto długo egoizm mocarstw pozwolił *Turcyi* znęcać się nad narodami słowiańskimi, pozostającymi jeszcze pod jej panowaniem, za nadto długo zapominano rozmyślnie o tem, że i te narody mają duszę i takie samo jak inni prawo do wolności i życia. Dziś gdy dusza ich wzburzyła się do głębi, gdy gorycz zamieniła się w odwagę rozpaczy, za późno koić ją — półśrodkami i słowami życzliwemi. Sięgnie ona sama po to, co jej odmawiano, nie bacząc na nic, nie szczędząc krwi ludzkiej. W najlepszym razie decyzya przewlecze się jeszcze przez czas pewien, może tygodnie lub miesiące — lecz na dłuższy termin zapewne już odroczyć się nie da.

Natura ludzka ma to do siebie, że w dążeniu do wymarzonych i upragnionych celów nie zraża się poprzedniemi smutnemi doświadczeniami, ani odstraszającemi przykładami innych podobnych zdarzeń i wypadków. *Bułgarzy macedońscy* rwą się do walki o wolność z przemożnym jeszcze wrogiem, jakkolwiek smutny los *Burów,* powinien być dla nich wymowną przestrogą, jak to obojętnie dziś świat patrzy na śmiertelne zapasy słuszności z przemocą — jak wcale a wcale nie kwapi się z pomocą dla pierwszej przeciwko drugiej. Ufają jeszcze szczęściu, Bogu, własnej sile i wierzą, że im lepiej się powiedzie. Życzymy tym pobratymcom naszym z całego serca, aby się nie zawiedli, aby dla nich los okazał się łaskawszym niż dla Burów a dawniej — dla nas.

Co do *Burów,* to trudno im jakoś poddać się nowym porządkom w ich ojczyźnie. W tych dniach wróci do Europy z swej podróży po Afryce południowej *Chamberlain,* angielski minister kolonii, uważany za sprawcę ich nieszczęścia. Bawił on tam dość długo, jeździł z miasta do miasta, perswadował, karcił, łudził obietnicami, lecz nie zdołał przekonać pokonanych, iż pod rządami Anglii lepiej im będzie, niż dawniej pod własnemi.

A nie dokazał tego, bo zanadto przytem postępował... *po prusku.* Żądał przecież od Burów *wdzięczności i miłości* za to, co Anglia wprost jest *zobowiązana* dać im w zamian za złożenie broni. I jeżli szlachetny w gruncie rzeczy naród angielski rychło nie naprawi złego wrażenia, jakie pozostawiła podróż Chamberlaina w krajach Burów, Anglia zawsze tam mieć będzie źródło trosk i niepokojów.

W monarchii *austro węgierskiej* znów wre i kipi. Tym razem chwieje się stosunek wzajemny obu części monarchii. Rząd wspólny zażądał od parlamentów obu części powiększenia wojska. Parlament austryacki zgodził się na to, w parlamencie węgierskim silna opozycya ani słuchać o tem nie chce. Żąda ona w zamian za nowe ciężary wojskowe, ażeby część węgierską armii odłączono zupełnie od części austryackiej, aby dano pierwszej wyłącznie *węgierskich oficerów i węgierską komendę.* Gdyby spełniono to żądanie — łączność państwowa Austryi i Węgier byłaby już tylko iluzoryczną. To też wspólnemu rządowi monarchii, a zwłaszcza sędziwemu jej monarsze spór ten bardzo jest nie na rękę, tem bardziej, że może wkrótce już przyjdzie Austro-Węgrom odegrać ważną rolę polityczną.

„Coś się psuje w państwie — *niemieckiem;*" to przeświadczenie szerokich kół wzmocniły jeszcze obrady, jakie toczyły się w ubiegłym tygodniu w *parlamencie niemieckim* nad etatem ministerstwa *wojny.* Dowiedziano się w ich toku, że rząd czyli fiskus wojskowy wydał na urządzenie wielkiego placu ćwiczeń dla korpusu śląskiego 3 miliony więcej, niż na ten cel w roku przeszłym uchwalono.

Lwia część tego przekroczenia kosztorysu przypadła w udziale hrabiemu *Dohna,* od którego zakupiono teren pod ten plac do ćwiczeń. Były to podobno piaski bez wartości, mimo to zapłacono mu za nie tyle, iż posłowie nie mogli się oprzeć podejrzeniu, iż to nie wszystko odbyło się prawidłowo. O ile zaś pan hrabia dobrze wyszedł na tym handlu, o tyle źle wyszli mniejsi gospodarze okoliczni, których częściowo po zwyklej taksie *wywłaszczono.* Jednemu zaś zabrano przymusowo grunt na to, aby zaokrąglić nim resztę posiadłości hrabiego. Parlament tak był oburzony tem postąpieniem fiskusa wojskowego, że skreślił kilka znacznych pozycyi z żądanych na ten cel funduszów. Prasa zaś biada nad tem, iż nie wszystko dzieje się w Niemczech tak, jak się dziać powinno.

„Debat polskich" nie było w tym tygodniu w sejmie i parlamencie — jednakże posłowie nasi nie próżnowali. W *sejmie* przemawiał podczas obrad nad etatem spraw wewnętrznych poseł ks. *Jażdżewski,* w parlamencie przy obradach nad nowelą do ustawy w kasach chorych poseł *Czarliński.* Pierwszy żądał, aby uwzględniano więcej niż dotychczas *język ojczysty i wyznanie polskich* chorych, mianowicie *w lazaretach,* drugi, — poseł *Czarliński,* aby chorzy pobierali z kas wsparcie przez pół roku, zamiast jak dotychczas przez kwartał, dalej, aby położnicom przedłużono wsparcie z kas chorych na *sześć* tygodni, w końcu domagał się także wolnego wyboru lekarzy.

Widzimy oto, że posłowie nasi przy każdej sposobności bronią praw naszych, mianowicie praw tych stanów, które najbardziej potrzebują opieki i pomocy. Nieprawdą więc jest twierdzenie socyalistów, że tylko oni dbają o biednych i nieszczęśliwych.

M. O.

Przegląd prasy.

Naczelnym prezesem W. Ks. Poznańskiego mianowano p. von *Waldow*, prezesa rejencyjnego w Królewcu, a więc urzędnika, którego nazwisko nie figurowało wcale na długiej liście kandydatów. Nowy najwyższy urzędnik liczy dopiero lat 46. Karyera jego była szybką; jeszcze przed 11 laty był asesorem, poczem został landratem w powiecie Dol. Barnien w Marchii, a następnie przeniesiono go do Królewca. *„Dzien. Pozn.“* pisze o nim między innemi co następuje:

„Uchodzi za dzielnego pracownika administracyjnego, a na urzędach królewieckich występował w myśl Puttkamera w kierunku wysoko konserwatywnym. Wymieniają kilku liberalnych urzędników komunalnych, którym odmómił zatwierdzenia, innym dawał przestrogi za zbyt wolnomyślne wystąpienie.

„„Freisinnige Ztg.“ nic więcej o nim powiedzieć nie potrafiła. Taki oto mąż, mówi ona — upatrzonym został na siłę, która wszystkie żywioły niemieckie ma przywieść do jedności, a z drugiej strony zaimponować agraryuszom, czego rzekomo p. v. Bitter nie potrafił.

„W tej mierze „Zukunft“ Hardena, nie wiedząc jeszcze o mianowaniu Waldowa, ogólnikowo o następcy, powiada, że i on będzie zdolniejszym od Wilamowitza i Bittera, a skoro się wpracuje, ulegnie następnie tym samym losom co tamci.

„O jego zadaniach antipolskich milczą jeszcze gazety, może dlatego, że samo przez się rozumie się, że i on sprawę antipolską uważać będzie porówno z kanclerzem jako „najważniejszą“ sprawę wewnętrzną w państwie pruskiem.

„Pod tym względem *żadnym się nie należy oddawac złudzeniom.* W Poznaniu potrzebni są urzędnicy, którzy umieją słuchać i wykonywać ściśle wolę wyższą.“

„Kur. Pozn.“ wyraża takie przypuszczenie:

„Będzie on, jak oni, punktem krzyżowania się rozmaitych prądów, które walczą u nas o władzę i wpływ i cała jego sztuka polegać będzie zapewne na tem — by wynaleźć pośrednią drogę, głównie pomiędzy dwoma rządami, któremi się cieszymy w naszej dzielnicy, a mianowicie pomiędzy rządem oficyalnym, a drugim o wiele od nas potężniejszym, hakatą.“

Ze *spraw wyborczych,* nabierających coraz więcej aktualności najważniejszą jest wiadomość, że pan mec. *Chrzanowski* zgodził się posłować nadal z Poznania. Pogłoskom, jakie kursowały, iż p. mec. Ch. zamierza złożyć mandat, nie dawaliśmy wiary, bo gdyby tak było, poseł byłby wystąpił dawno z odnośnem oświadczeniem. *Stanowisko rodaków naszych w Nadrenii i Westfalii* wobec przyszłych wyborów do parlamentu stało się przedmiotem wyczerpujących artykułów w *„Dzien Berl.“*, który sądzi, że Koło polskie nie powinno się mieszać *urzędowo* do tej sprawy, bo

„może sobie zepsuć albo z centrum, albo co gorsza, ***oburzyć na siebie opinią własnych rodaków*** i dla tego najlepiej uczyni, jeżeli poprzestanie na pełnieniu właściwego swego obowiązku jaknajwydatniejszej i najenergiczniejszej obrony interesów swego społeczeństwa z trybuny parlamentarnej, a załatwienie tej sprawy pozostawi czynnikom bezpośrednio interesowanym i kompetentnym, to jest władzom naszym wyborczym. Przecież wszędzie tak się dzieje, że nie posłowie dotychczasowi decydują o wyborze przyszłych posłów czy kandydatów na posłów, tylko że decyzya o tem spoczywa w ręku komitetów wyborczych.“

„Dzien. Berl.“ pochwala, że tamtejsi rodacy zamierzają tak samo jak Polacy w Berlinie głosować na własnych kandydatów, czemu i my serdecznie przyklaskujemy.

„O wybór kandydata — pisze dalej tenże organ — nie chodzi, o tem nie ma też mowy, ale o głosowanie na polskiego kandydata jako o środek do pogłębienia świadomości narodowej w szerokich masach polskiego wychodźtwa, otoczonego zewsząd morzem niemczyzny, chodzi nam bardzo. *I dla tego koniecznie potrzeba, żeby rodacy nasi w Westfalii i Nadrenii w pierwszym pochodzie wyborczym zawsze głosowali na polskiego kandydata i żeby rozwinęli jak najżarliwszą agitacyę, aby zebrać na niego jak największą liczbę głosów.*“

Przy ściślejszych wyborach pomiędzy kandydatami centrum a nacyonał liberałów Polacy winni oddać głosy na centrowca, „jeżeli komitet centrowy do życzliwości Polaków-katolików w odpowiedniej formie się odwoła.“

Na Śląsku, jak uważa *„Orędownik,“ „sytuacya uprościła się bardzo“* przez to, że „Katolika“ spotkał zawód z strony centrowców. „Katolik“ głosił, że bez walki z centrum zyska także polskich posłów. Tymczasem

„Komitety centrowe dały „Katolikowi“ tylko dwóch kandydatów: jeden z nich, ks. Kapica, mandatu nie chce przyjąć, drugiego zaś, robotnika p. Królika, przerzucają centrowcy z jednego okręgu do drugiego, a wydawca „Katolika“ stoi wobec tego bezradny i bezsilny.

„To jest klęska, zupełna klęska dla polityki „Katolika“, bo centrowcy sami rozbili mu stanowisko, na którem oparł swą polityczną operacyą.

„Wydawca „Katolika“ stracił wszelki grunt pod nogami. Stoi bezsilny i osamotniony tak wobec centrowców, jak wobec narodowców, którzy mają swe organa w „Górnoślązaku“ i „Głosie Śląskim.““

Gwiazda „Katolika“ gaśnie a prasa narodowa zyskuje coraz więcej na sile. Świeżo powstał w Gliwicach *„Głos Śląski“* pod redakcyą pana Siemianowskiego, który oświadczył się za Tow. wyborczem, wystąpił przeciwko tak wstrętnej kandydaturze hr. Ballestrema i polityce „Katolika“.

Nadto mają powstać na Śląsku *trzy nowe pisma,* a mianowicie *„Iskra“* pod redakcyą p. J. Sołtysa w Gliwicach, a dalej *„Straż nad Odrą“* w Koźlu i *„Dzwon Polski“* w Lublińcu.

W *Berlinie* silne wrażenie zrobiło w kolonii polskiej ukaranie aresztem wikaryusza ks. *Skiby,* o czem „Dzien. Berl.“ pisze:

„Ot wyrządzono mu ciężką krzywdę *ukarano go kilkodniowym aresztem za „zbrodnię“, którą gdzieindziej poczytanoby mu za zasługę, a przynajmniej za rzetelne spełnianie obowiązku kapłańskiego.*

„Widząc straszne spustoszenie moralne, jakie w duszach Polaków na obczyźnie a mianowicie w duszach ich dzieci powoduje brak słowa bożego, głoszonego im w języku ojczystym, zgromadził ks. Skiba około siebie dziatwę polską i uczył ją czytać na polskim katechizmie i śpiewać polskich pieśni kościelnych.

„Nie czynił tego wcale z jakichś *politycznych* lub *narodowych* względów, tylko w interesie *kościoła,* w interesie religii, w interesie dobra *dusz polskich parafian* i ich dzieci, do których dotrzeć można skutecznie nauką religii tylko za pośrednictwem własnego ich języka ojczystego, zabroniono mu ostatecznie tej przygotowawczej nauki języka polskiego, udzielanej celem osiągnięcia lepszych rezultatów w nauce religii, bo rektor odnośnej szkoły poskarżył się na niego, że mu tą nauką przeszkadza w osiąganiu prędszych rezultatów pracy nad przyswojeniem dzieciom polskim języka niemieckiego.“

Otóż to nowy bohaterski czyn Prusaków!

B. M.



Dodatek do nr. 10go „Pracy.“

Floryan

ze zmiłowania Bożego i św. Stolicy Apostolskiej łaski

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

tejże Stolicy Apostolskiej Legat urodzony itd. itd.

Duchowieństwu i Wiernym

obu Archidyecezyi

pozdrowienie i błogosławieństwo arcypasterskie w Panu.

(Dokończenie).

Gdy taką czcią otaczamy Ojca św. — pragnąłbym skorzystać z tej sposobności, aby tegoroczna uroczystość nie przeszła bez pożytku duchowego dla nas, a nie zapuszczając się w rozbiór obowiązków względem władzy w ogólności, jak je katechizm uczy, ograniczę się tylko na wezwaniu, ażebyśmy się zastanowili nad tem, jak zachowujemy się praktycznie w obec obowiązków względem władz i powag uświęconych w życiu codziennem.

Nie zakrywajmy tego przed sobą, tutaj rzeczywiście potrzeba „*przemienienia się w nowości umysłu naszego.*“ W pierwszym rzędzie zwracam się więc do tych, którym Pan Bóg zasługami, pracą, urzędem lub rodem wysokim, w mieście czy na wsi dał sposobność wyrobienia sobie w swych kołach powagi i znaczenia.

Podobnie jak owi cenzorowie obyczajów za czasów państwa rzymskiego z urzędu, tak powinniście Wy z miłości dla braci czuwać nad moralnością publiczną, nad pełnieniem cnót, i obowiązków obywatelskich. Wy powagą, sądem, opinią zdrową być macie!

Wielki to zaszczyt, ale też wielkie nakłada obowiązki. Nie wystarczy bowiem innym wskazywać drogę, — samemu po niej kroczyć i przewodniczyć trzeba! I jeźli dzisiaj słuszna podnosi się skarga na ubytek powagi starszych, to nie zawsze tylko młodszych o to winić można. Czy może niejeden z starszych sam nie podkopywał swej powagi? Czy ten, co nie szanując siwych swych włosów lub godności swej, razem z młodzikami grzesznym oddaje się zabawom i łamiąc jawnie przepisy moralności w rozpuście i pijaństwie staje się przewodnikiem, czy taki nie pracuje nad obniżeniem wszelkiej powagi starszych, nad rozluźnieniem obyczajów, nad zaprzepaszczeniem zdrowej opinii publicznej?

Przykro o tem mówić, ale mówić muszę, bo Mi to obowiązek nakazuje i rozkaz Apostoła narodów: „*A ty mów, co przystoi zdrowej nauce. Starce, aby byli trzeźwi, wstydliwi, roztropni, zdrowi w wierze.*“ (Tyt. 5, 1—3).

A teraz do Ciebie się zwracam, młodzieży Moja ukochana. Posłuchaj głosu Mojego jako głosu tego, którego Bóg w porządku nadprzyrodzonym w Kościele świętym Ojcem Waszym tu w tych dyecezyach ustanowił. Proszę Boga, aby głos Mój dotarł do Was wszystkich i przekonał o potrzebie poszanowania powagi uprawnionej na ziemi.

Starają się podkopać w Was poszanowanie dla najwyższej powagi, dla Kościoła św., wydrzeć wiarę Ojców z serc Waszych. Otóż to Wasi wrogowie. Odepchnijcie szatanów tych i burzycieli Waszych sumień, oprzyjcie się znowu silnie na tej powadze Bożej, która drogowskazem jedynym wśród zamętu, pokus i burz dla Was nieomylnym.

Nie Waszem zadaniem rwać się do przodownictwa w narodzie, do wskazywania mu dróg życia, bo Wam brak do tego powołania i doświadczenia, brak odpowiedniego, a koniecznego do tego przygotowania.

Krwawemi głoskami zapisane są dzieje, gdzie z najszlachetniejszych popędów ale w zarozumiałości swej młodzież gardząc powagą i mądremi radami starszych odepchnęła ich od steru, uwiedziona zawodowymi podburzycielami.

Nauka i praca najusilniejsza — oto czasu młodości dla Was samych i społeczeństwa całego pierwszym obowiązkiem. Z takiej tylko siejby, pełnej zapału i wytrwałości plon wyrasta. Komu z Was Bóg dał większe zdolności, niech pracuje nie w samolubnych celach, ale raczej, aby imieniem swojem w przyszłości nadać blasku swojemu narodowi, dorzucić coś do dorobku cywilizacyjnego ludzkości.

Wszystkie imiona, któremi się szczycą narody, imiona, które utrwaliły w nich podstawy życia, wychowały się nie w tym najłatwiejszym zawodzie politykowania; przeciwnie wśród pracy ciężkiej gotowali się do służby dla dobra czy narodu czy ludzkości całej.

I Ty Synu mój, który czy w kupiectwie lub rzemiośle, czy na roli — albo w innym zawodzie spełniasz swoje obowiązki, posłuchaj Mojej nauki, nie daj się obałamucić przez kusicieli głoszących obalenie wszelkiej zwierzchności i pragnących użyć Ciebie jako narzędzie niecnych swych nauk. Staraj się natomiast wydoskonalić w Twoim zawodzie także pracą, a pracą sumienną i życiem poczciwem, aby o każdym z Was powiedzieć musieli nawet nieprzyjaciele: *oto kupiec rzetelny, który nigdy nie zawiedzie na towarze swoim, u którego skora usługa — oto rzemieślnik uczciwy, znający dobrze swoje rzemiosło — oto rolnik, robotnik trzeźwy, na którym polegać można.*

Gdy młodzież z wszystkich stanów i zawodów odznaczać się będzie takiemi zaletami, czyż to nie będzie chwałą całego społeczeństwa, do którego należy, czyż nie będzie sama twórcą własnego szczęścia i dobrobytu społecznego?

Jest jeszcze inny odłam młodzieży, bo wyzuty z wszelkich ideałów i wyższych dążności — młodzieży, dla której praca zawodowa, poważna nauka stała się wstrętną, a która tylko formami zewnętrznemi stara się pokryć nicość i próżnią swoją. Są między nią nawet tacy, którzy sobie drwią z powag wieku i zasług, a chełpią się swoją niecnotą.

Wobec takiej młodzieży, której duch już zatruty, niech się ocknie zdrowa część młodzieży wszystkich stanów i społeczeństwo całe, tak mężczyźni jak niewiasty z swej pobłażliwości i niech jej dają poznać wyraźnie wstręt swój, dopóki się nie zmieni.

Oby we wszystkich stanach, a szczególniej w młodzieży ta uroczystość jubileuszowa wraz ze

czcią, do jakiej nas pobudza dla Ojca św., obudziła lub wzmocniła poczucie uznania tego, że lekceważenie wszelkiej powagi prowadzić musi do pozbawienia szczęścia, do rozluźnienia węzłów rodzinnych i społecznych, a z niem do zguby i upadku jednostek i narodu.

Modlitwom Waszym zawdzięczam zapewne w wielkiej części, iż mimo cierpień mogę się jeszcze do Was odzywać słowami nauki i Ojcowskich upomnień. Codziennie oddając Was wszystkich w modlitwach Moich opiece Bożej, proszę Boga, aby łaska i błogosławieństwo Jego na drogach życia Wam zawsze towarzyszyły.

Wykonując Mandat św. Stolicy Apostolskiej z dnia 31-go sierpnia 1899 r., pragnącej, aby w dyecezyach Naszych zastosować się do praktyki zachowania postów, przestrzeganej w sąsiednich Nam dyecezyach, zwłaszcza wobec ułatwionej komunikacyi i wędrówek z jednej okolicy do drugiej, udzielamy po porozumieniu się z Najprzewielebniejszym Ks. Biskupem Chełmińskim, z ramienia i w imieniu Stolicy Apostolskiej na czas od Popielca 1903 r. do Popielca 1904 r. następujące dyspensy z uwagą, *że nikt nie jest zobowiązanym z tych zwolnień korzystać*, ale, jeżeli chce, może od mięsnych pokarmów, jak dotąd, tak i nadal się wstrzymywać.

1. Wolno zatem używać mleka, masła, sera, jaj we wszystkie dni postu całego roku z wyjątkiem Wielkiego Piątku;
2. wolno używać tłuszczu do kraszenia potraw w dni postne z wyjątkiem ostatnich trzech dni Wielkiego Tygodnia tym wszystkim, którzy na masło nie mają, masła i oleju znieść nie mogą, lub ciężko pracować muszą;
3. wolno używać mięsa *kilkakrotnie* w soboty całego roku z wyjątkiem *sobót Wielkiego Postu, suchych dni i wigilii, na które przypada post ścisły;*
4. wolno używać kilkakrotnie mięsa w dni krzyżowe;
5. co do Wielkiego Postu wolno używać mięsa, lecz tylko przy *jednem* posileniu: w poniedziałki, wtorki i czwartki z wyjątkiem Wielkiego Czwartku; w niedzielę zaś przy każdem posileniu. Kto chce używać mięsa w dni powyżej oznaczone, nie potrzebuje odtąd udawać się po dyspensę osobną do swego duszpasterza, albo spowiednika, atoli jest zobowiązanym wedle rozkazu Ojca św., w Mandacie wyrażonego, gorliwiej spełniać dobre uczynki i obfitszą *złożyć jałmużnę na ręce swego duszpasterza*, albo *do skarbonki*, która szczególniej w miejskich parafiach na ten cel w kościele powinna być wystawioną z napisem: *„jałmużna postna.“ Złożenie jałmużny wielkopostnej dowolnej pozostaje zatem ścisłym obowiązkiem.* Jałmużny te są przeznaczone na dobre cele dyecezyalne;
6. kapłani i osoby zakonne również korzystać mogą z powyższej dyspensy bez osobnych wniosków do swej władzy przełożonej;
7. słabi, chorzy stósować się mogą pod względem postu do przepisów sumiennego lekarza.

Nadmieniamy, celem uniknienia wszelkich wątpliwości, że:

a) dyspensa ta w niczem nie zmienia obowiązku *ścisłego* postu, t. j. jednorazowego aż do sytości posilenia się w ciągu doby: w środy i piątki adwentowe, suche dni, wigilie i wszystkie dni Wielkiego postu z wyjątkiem niedziel;
b) mięsa i ryb równocześnie przy jednem posileniu w dni ścisłego postu używać nie wolno.

Oświadczamy wreszcie, że zachowanie postu wedle dawniejszego u nas zwyczaju będzie zawsze rzeczą chwalebną i pożądaną.

Ze względu na wielki brak duchowieństwa trwać będzie Spowiedź i Komunia św. wielkanocna od czwartej niedzieli postu do trzeciej niedzieli po Wielkanocy.

Niniejszy list Pasterski będzie odczytany w miejsce kazania we wszystkich kościołach w Niedzielę Zapustną (Quinquagesima).

Dan w Poznaniu w Rezydencyi Naszej, dnia 10. lutego 1903.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

† Floryan.



Ojciec św. Leon XIII w ogrodach watykańskich.

ALBUM „PRACY."

DRUKIEM „PRACY."

Dział illustrowany.

†

Śp. J. E. ks. Bolesław

Hieronim Kłopotowski,

Arcybiskup Mohylowski, Metropolita Wszech Kościołów Rz.-kat. w Rosyi.

Dnia 24-go z. m. o godzinie 3-ciej min. 30 po południu zmarł w Petersburgu ks. Arcybiskup Metropolita Kłopotowski. Zgon nastąpił nadzwyczaj spokojnie prawie we śnie; noc poprzedzającą zgon spędził ks. Arcybiskup w stanie zupełnej nieprzytomności. Wieczorem odbyły się u zwłok egzekwie, na których obecnymi byli: duchowieństwo, liczni przedstawiciele polskiego towarzystwa, tłumy ludu, oraz dyrektor departamentu wyznań obcych tajny radzca Mosłow.

Wiadomość ta smutna, jakkolwiek można jej było spodziewać się od paru tygodni co chwila, niemniej jednak odbiła się potężnem echem w sercach wszystkich.

S. p. ks. arcybiskup Bolesław Hieronim Kłopotowski, pochodzący ze starej szlacheckiej rodziny, urodził się w r. 1848 w Hołowczyńcach pod Szarogrodem w gub. podolskiej. Z domu rodziców, znanych w okolicy z cnót i wysokiej inteligencyi, wyniósł późniejszy książę Kościoła zasady i zacny charakter, które tak pięknym blaskiem przyświecały jego życiu.

Gdy doszedł chłopięcych lat, rodzice oddali go do szkół w Złotopolu, następnie w Kijowie. Od wczesnej młodości ś. p. ks. Kłopotowski odczuwał powołanie do stanu duchownego, to też po ukończeniu gimnazyum w Kijowie w r. 1865, wstąpił do seminaryum duchownego w Żytomierzu, a odznaczywszy się tam zdolnościami i wielką pobożnością, został wysłany jako celujący uczeń w r. 1869 do Akademii duchownej w Petersburgu. W trzy lata potem otrzymuje święcenie kapłańskie, ukończywszy poprzednio Akademię ze stopniem magistra św. teologii.

Od tej chwili zaczyna się jego zawód pedagogiczny, który z zamiłowaniem i wielkiem poświęceniem spełniał.

Po otrzymaniu święceń otrzymuje polecenie udania się do Żytomierza w celu objęcia katedry teologii moralnej i historyi kościoła w seminaryum, jednocześnie otrzymał nominacyę na obrońcę nierozerwalności małżeństwa w miejscowym sądzie konsystorskim.

W kilka lat już, bo w r. 1877, zwróciwszy na siebie uwagę wyższej władzy duchownej jako znakomity teolog, zostaje powołany na profesora historyi Kościoła i prawa kanonicznego do Akademii duchownej w Petersburgu, z którą już nie miał się rozstać aż do chwili, gdy z Bożej łaski a woli Jego Świątobliwości otrzymał sakrę.

W r. 1884 ks. Rektor Akademii obecny biskup Symon powierzył ks. prof. Kłopotowskiemu urząd inspektora Akademii. Nie spoczywając na laurach zdobytych ks. Kłopotowski nietylko pracował w obranym zawodzie jako dusz-pasterz i przewódzca młodzieży duchownej, lecz w ciszy



Ś. p. J. E. ks. Bolesław Hieronim Kłopotowski.

swej celi studyował w dalszym ciągu nauki związane z religią i w 1885 roku, po odbytej dyspucie publicznej, otrzymał stopień doktora Kanonów, przedtem już uzyskawszy godność kanonika katedry łucko-żytomierskiej.

W 1897 r. ks. Inspektor, daleki od tej myśli, zostaje mianowany Biskupem eleutoropolitańskim, a po ś. p. biskupie Lubowidzkim — sufraganem łucko-żytomierskim i tegoż roku w dniu 21 listopada został konsekrowany w Petersburgu w kościele ś-tej Katarzyny. Cztery lata tylko rządził tą dyecezyą a na długie lata pozostawił tam wśród dyecezyan pamięć po sobie.

Dzień 16 kwietnia 1901 r. przynosi ks. biskupowi Kłopotowskiemu nominacyę na Arcybiskupa Mohylowskiego i Metropolitę Wszechkościołów Rzymsko-Katolickich w Rosyi — powraca więc Jego Ekscellencya z powrotem po czteroletniej niebytności do Petersburga, gdzie go czekała wielka i uciążliwa praca.

Od kilku miesięcy złożony ciężką niemocą, przez ostatnich kilka tygodni, pasując się ze śmiercią, przeniósł się do wieczności zbyt wcześnie osierocając swych licznych dyecezyan, ku wielkiemu ich żalowi.

Zmarły dostojnik i w literaturze kościelnej zdobył sobie niepoślednie miejsce, wzbogacając ją nadzwyczaj cennem dziełem p. t. „Historya Kościoła". Oprócz tego stale zasilał swemi pracami z dziedziny teologii *„Przegląd Katolicki"*.

Cześć Jego pamięci!

W.

Serce Kościuszki.

(Do illustracyi.)

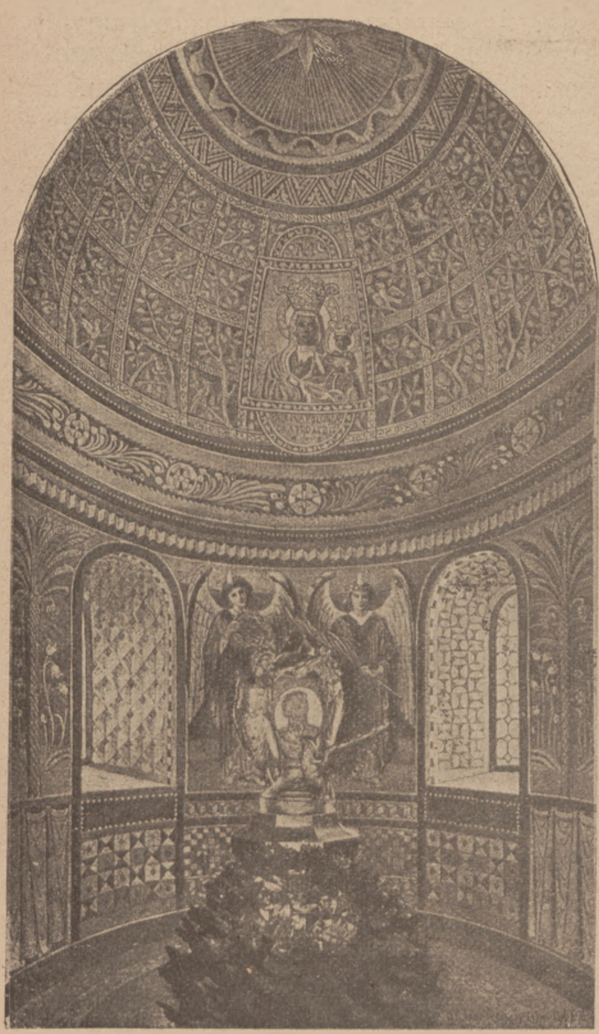
Przeczytawszy bardzo piękny artykuł o sławnym bohaterze naszym Kościuszce w 5-ym numerze „Pracy," widzę, że szanowny autor nie był zupełnie dokładnie poinformowanym z rzeczami, odnoszącemi się do śp. Tadeusza Kościuszki z lat ostatnich. Pozwalam sobie przeto uprzejmie Szanownej Redakcyi przesłać niektóre w tym względzie sprostowania oraz załączyć podobiznę kapliczki z urną nową dla serca śp. Tadeusza Kościuszki, znajdującej się w podwórzu zamkowem w Rapperswylu. Artykuł zgadza się zupełnie z faktami nieraz przez mieszkańców Solury opowiadanymi, aż do wspomnienia o sercu wielkiego wodza naszego.

Serce swe zapisał śp. T. Kościuszko swej ulubionej, młodej przyjaciółce i chrześniaczce Emilii Zeltnerównie, która zostawszy żoną hr. Negroni zabrała w małej porcelanowej urnie ten drogocenny podarek. Serce odtąd spoczywało w kaplicy pałacu hr. Negroni, aż do roku 1895-go, otoczone wielką czcią przez całą rodzinę. W ostatnich latach przeszedł cały majątek hr. Negroni na wnuka po kądzieli E. Zeltnerównej hr. Morosini'ego.

Za staraniem Polaków emigrantów z roku 1831-go i 63-go, we Francyi i Szwajcaryi zamieszkałych, a mianowicie panów pułkownika Józefa Gałę-

zowskiego z Paryża i hr. de Dienheim-Brochockiego z Paryża i śp. Henryka Bukowskiego ze Stockholmu, oddała rodzina hrabiów Morosinich z największą gotowością serce nieodżałowanego naczelnika naszego narodowi polskiemu, przeznaczając jako tymczasowe miejsce złożenia w muzeum narodowem polskiem w Rapperswylu. W październiku 1895-go przewieziono pierwotną urnę ze sercem z Włoszech do Rapperswylu, gdzie przez umyślnie wybraną komisyą ją otworzono i przekonano się o prawdziwości serca znajdującego się w urnie.

Następnie zabalsamował p. dr. Laskowski, profesor uniwersytetu genewskiego w Szwajcaryi, w obecności zarządu rady muzealnej i delegatów z różnych dzielnic Polski na nowo serce, które złożono znów do starej urny i spisano protokół z podpisami wszystkich obecnych tam panów. Dnia 16-go października po wielkiej uroczystości kościelnej przeniosły 4-ry panie urnę ze sercem na noszach, urządzonych ze sztandarów z czasów wojen o niepodległość Polski, z kościoła do zamku, gdzie w jednej z baszt zamkowych ją wmurowano aż do ukończenia stósownej kapliczki w dolnej części wieży zamkowej. Ze składek publicznych zakupiono dużą, piękną urnę z bronzu, którą przedstawia illustracya w „Pracy“ dzisiajszej. Hr. Morosini miał rzewną przemowę w języku francuzkim, a oddając nam serce, przez rodzinę tak ukochane, wyraził żywą nadzieję, że może Bóg da, iż ono powróci jeszcze na łono wolnej Ojczyzny, którą nasz wódz nieoceniony tak gorąco ukochał.



Kaplica w Muzeum narodowem polskiem w Rapperswylu, w której złożono urnę z sercem Kościuszki.

Jako córka emigranta byłam obecną na wszystkich przygotowaniach, na tę wielką uroczystość narodową potrzebnych, i brałam w nich żywy udział. Szkoda tylko wielka, że wtenczas żadnemu z fotografistów nie przyszło na myśl uwiecznić na płycie tak rzadki, a wspaniały pochód w rodzaju procesyi z zamku do kościoła.

W końcu nadmieniam, że na cmentarzu w Zuchwyl pod Solurą, w miejscu oznaczonem pomnikiem, spoczywają tylko wnętrzności śp. Tadeusza Kościuszki.

Gniezno, 1. 3. 1903.

Z Trzcińskich
drwa Marya Ulatowska.

Z ojczystych stron.

„Nowy Świat“ pod Warszawą.

(Do illustracyi.)

Wymieniona w tytule niniejszej notatki ulica Warszawy do połowy XIX w. była cichą, ożywiającą się tylko w dniach świątecznych, lub wieczorem, kiedy mieszkańcy wyruszali pieszo lub powozami na wycieczki, do zawsze pięknych Alei Ujazdowskich.

Spacer na Nowy Świat przed kilkudziesięciu laty był dla ówczesnych mieszkańców wycieczką, jak np. dziś do Czerniakowa. „Ho, ho — mawiali, on poszedł za bramę (która istniała około kolumny Zygmunta i zniesioną została w r. 1817); „ho ho!, on poszedł nawet na Nowy Swiat!...“

Przed pół wiekiem, począwszy od posągu Kopernika, t. j. od początku Nowego Światu (o czem informowała tabliczka z napisem, umieszczona nad boczną bramą pałacu Branickich; obecnie jest to dom Zarządu wojskowego, a przedtem hr. Andrzeja Zamoyskiego), aż do placu Trzech Krzyży, ulica była makademizowana, czyli posiadała szosę, a prawie wszystkie domy miały prywatne mieszkania na parterze, sklepy zaś nieledwie na palcach zliczyć naówczas można było.

Znajdowały się tu cukiernie: Jana Bellego, w domu zwanym „Przyjaciół nauk“ pod arkadami, Andrzeja Semadeniego na rogu Ś-to Krzyzkiej i trzecia cukiernia Boula na rogu Ordynackiej.

W posesyi, zwanej pałacykiem misyonarskim pod nr. 70-ym, mieściła się księgarnia i antykwarnia Zygmunta



Z okolic Warszawy: Pałac w Natolinie.

Szteblera, obfita w białe kruki i odwiedzana też licznie przez miłośników bibliografii.

W pałacu hrabiów Branickich, dziś przerobionym zupełnie, był handel kolonialny panien Langange, który odstąpiły później Mierzejewskiemu, skład herbaty i ruskich towarów braci Gridinów, i sklep z przyborami myśliwskiemi jakiegoś fabrykanta broni.

Po drugiej zaś stronie ulicy, w domu obecnie zajętym na gimnazyum, była piwiarnia Guzowskiego, zwana „pod Walhallą;“ pracownia zegarmistrzowska Smolaka i główny kantor loteryi Salwiana Jakubowskiego, administratora dochodów loteryjnych.

W owym to czasie krążyła po mieście *a propos* tego kantoru następująca anegdota.

Od czasu do czasu zgłaszała się tam jakaś kobieta z ludu, zapytując, czy czego nie wygrała. „A jakiż jejmość masz numer? — zapytywano w kantorze — prosimy o bilet“. „Bilet? a to po co, jak Bóg będzie chciał, to ja i bez biletu wygram...“

Odwiedziny te powtarzały się niemal przy każdem ciągnieniu. Służba przeto kantorowa zrobiła sobie raz żart i $^1/_5$ część losu (bo taki był dawniej podział loteryi), wzięła swoim kosztem, przeznaczając go dla owej baby.

Zbiegiem okoliczności na numer padła niewielka wygrana. Zjawia się baba w kantorze ze stereotypowem pytaniem: „Czy co wygrałam?“ — „A jakże! wygrałaś jejmość“ i doręczono jej kilkadziesiąt złotych, które bez zdziwienia odebrała, mówiąc: „A widzi jegomość, jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści“, i wyszła wśród śmiechu rachmistrzów kantorowych.

Inny kantor loteryi, Adryańskiego i Krasuskiego, znajdował się na rogu Alei Jerozolimskiej (tam, gdzie dziś Izba obrachunkowa). Dalej na Nowym Świecie były dwie apteki: Titziusa, bliżej ulicy Ordynackiej i Żelazowskiego (dziś posesya, oznaczona nr. 46.) — jednego z założycieli pierwszego in-

stytutu wód mineralnych sztucznych w ogrodzie Krasińskich, a raczej w ogrodzie pałacu Dyckerta przy ulicy Długiej.

Szyldy przy drzwiach do obu tych oficyn *sanitatis* wyobrażały według ówczesnego zwyczaju: Eskulapa i Hygeę.

Bliżej ulicy Św. Krzyzkiej, drugi dom pod nr. 57-ym, w posesyi, zwanej Starą pocztą, bo tam ona w zeszłym wieku egzystowała — mieszkał dawnej daty fryzyer, noszący staroświeckiego kroju kapotę i czapkę zwieszającą się z boku; był nim Maczucki „perukarz", jak w owe czasy fryzyerów zwano, ojciec słynnego przez czas długi w Paryżu szachisty, już także zmarłego.

Staruszek miał swoich odwiecznych gości, których w zakładzie informował napis szyldowy wierszowany:

„Pełnię wskazują niebiosy
Panowie! trzeba strzydz włosy,
Także nów wskazują Nieba,
Panowie! strzydz włosy trzeba!"

W oknie zakładu Maczuckiego wystawiane bywało od czasu do czasu ogłoszenie: „Dziś nadszedł świeży transport pudru."

Handlów win było wogóle na Nowym Świecie 5, a mianowicie: 1) Sojeckiego na rogu ulicy Świętokrzyskiej, 2) Czarniawskiego w narożnej kamienicy przy Ordynackiej. Kupiec ten handlował także pomarańczami i cytrynami; on to pierwszy zaczął sprowadzać do Warszawy, nieznane przedtem, daktyle marokańskie. W końcu życia swego, przeniósł się do własnego domu na Tłomackie i tam już wyłącznie zajmował się sprzedażą pominionych owoców. 3) Po tej samej stronie, gdzie prowadził handel Czarniawski, — był handel starego Madejki (naprost dzisiejszej posesyi Lewentala), 4) na rogu ulicy Chmielnej, handel Ringa, następnie Brudkowskiego, ożenionego z siostrą słynnego kupca win Spiskiego, znanego z wielkiej uczynności i dobrodzieja ubogich; 5) nareszcie handel win Rutscha, przy zbiegu z ulicą Książęcą.

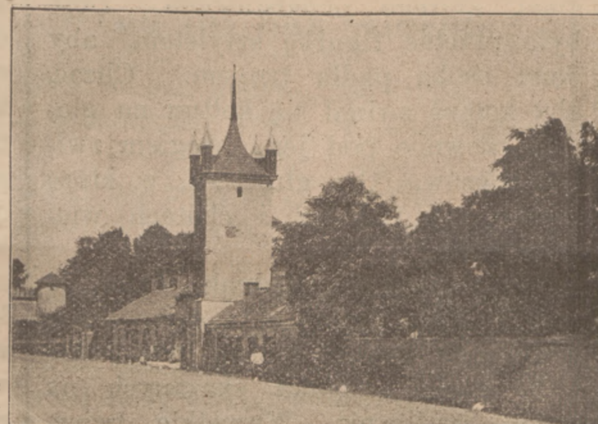
Przy handlu Ringa był także kantor pism peryodycznych, a mianowicie: prócz gazet prenumerowano tam: *Magazyn powszechny*, w r. 1834-ym wydawane pierwsze pismo ilustrowane, którego wówczas redaktorem był Kazimierz Brodziński, a nakładcą Jan Glücksberg; *Magazyn mód*, redagowany przez Joannę Widulińską; *Magazyn dla dzieci*, *Humorystę warszawskiego*, redagowanego przez Józefa Bogdana Wagnera, *Muzeum domowe* i *Podróż malowniczą*, oba pisma wydawane przez Franciszka Salezego Dmochowskiego i t. d.

Dziś ten handel win i korzeni prowadzi p. Potrzebski.

Wspomnieć także należy pracownię zegarmistrzowską Draganowskiego (w kamieniczce narożnej przy ul. świętokrzyzkiej). W oknie owej pracowni mieścił się zegar, dobrze znany młodzieży, dążącej do gimnazyum w pałacu, zwanym Kazimierowskim.

Lekcye w gimnazyum rozpoczynały się o godz. 8 rano, poprzedzone mszą, w kościele pp. Wizytek odprawianą. Otóż raz, któryś z uczniów zegarmistrza w dzień 1-go kwietnia zrobił figla swoim rówieśnikom i zasłonił cyferblat czasomierza arkuszem papieru, napisawszy na nim *Prima aprilis*. Przechodzący ulicą przez przyzwyczajenie spoglądali na zegar i ze śmiechem szli dalej, co figlarza bardzo bawiło.

Sklepów z wędlinami posiadał wtedy Nowy Świat tylko dwa: Deubla (bliżej ul. Ordynackiej) i jakiś mały handel w domku parterowym, prawie wprost ulicy Chmielnej położonym; w tem miejscu później wybudował kamienicę śp. inż. Kazimierz Oleksiński.



Z okolic Warszawy. Wejście do ogrodu Szustra w Mokotowie.

Kiedy jeszcze tam był dworek, jednego roku czytaliśmy na nim kartę najmu lokalu, która brzmiała: „Tu jest alkierz dla małżeństwa, bez wilgoci, do wynajęcia."

Po za dzisiejszą izbą obrachunkową, stoi dotąd mały m[illegible]wany domek, przerobiony obecnie, jak wszystkie posesye na Nowym Świecie, na sklepy. Był on własnością wdowy Kissweterowej, matki redaktora *Gazety teatralnej*, w r. 1843-cim w Warszawie wychodzącej. Domek ów odznaczał się tem, że posiadał szyby lustrzane, w owej epoce będące osobliwością. Kissweterowa w domku pomienionym miała sklep z wyrobami powroźniczemi.

Restauracya, a jak wówczas nazywano „traktyernia," jedna tylko istniała przy ul. Nowy Świat, w pałacu niegdyś księżnej Anny Sapieżynej, przebudowanym następnie. Utrzymywał pomienioną restauracyę b. dworzanin księżnej, Matraszek.

Liczby wreszcie sklepów i zakładów publicznych dopełniała izba felczerska *vel* razura, sklepik z towarem, tak zwanym norymberskim, kilka sklepików z wiktuałami i przedmiotami do potrzeb domowych, o których to sklepikach mawiano:

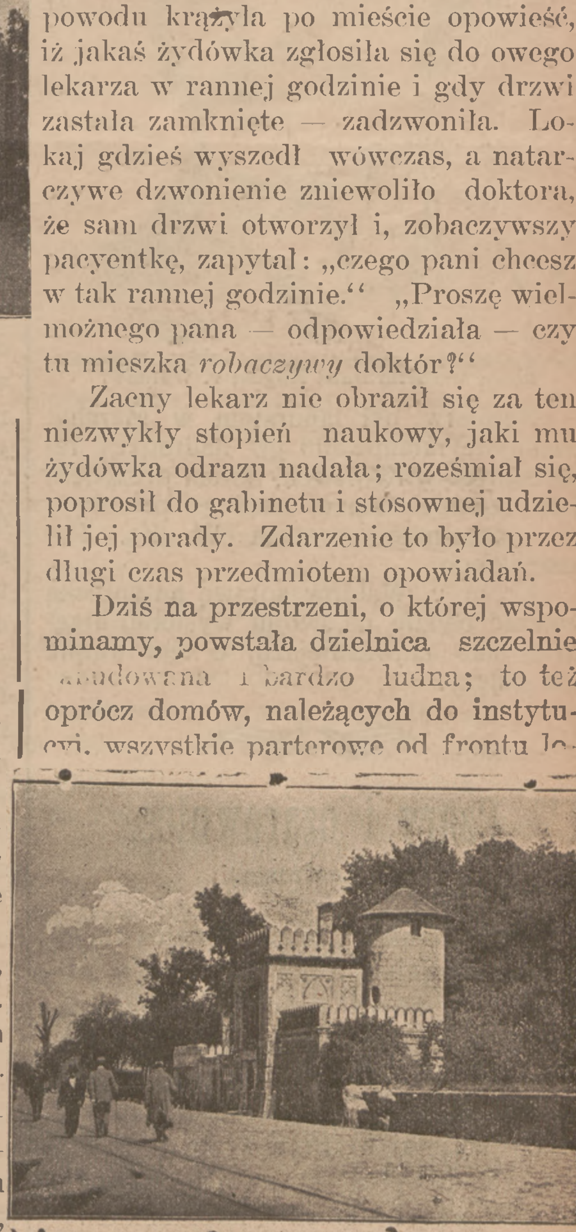
Tam są przednie fabrykaty,
Smoła, wiechcie i łopaty.

Kilka jeszcze szynków, z których największy w domu Zrazowskiego (targ zwany Sułkowskie i Erxlebena), po za ul. Chmielną itd., oto i wszystkie sklepy na Nowym Świecie, dolne bowiem lokale frontowe zajmowane były przez ludzi zamożniejszych; świadczyły o tem elegancko z kolorowemi poduszkami na parapecie utrzymywane okna, zdobne w piękne kwiaty, stojące w doniczkach, co wówczas było modą.

W jednym z większych parterowych lokali Nowego Świata, mieszkał kiedyś ś. p. dr. R., dużej używający sławy lekarz, który kilka osób chorujących na solitera, radykalnie wyleczył. Wyleczenie to zrobiło mu rozgłos. Z tego powodu krążyła po mieście opowieść, iż jakaś żydówka zgłosiła się do owego lekarza w rannej godzinie i gdy drzwi zastała zamknięte — zadzwoniła. Lokaj gdzieś wyszedł wówczas, a natarczywe dzwonienie zniewoliło doktora, że sam drzwi otworzył i, zobaczywszy pacyentkę, zapytał: „czego pani chcesz w tak rannej godzinie." „Proszę wielmożnego pana — odpowiedziała — czy tu mieszka *robaczywy* doktór?"

Zacny lekarz nie obraził się za ten niezwykły stopień naukowy, jaki mu żydówka odrazu nadała; roześmiał się, poprosił do gabinetu i stósownej udzielił jej porady. Zdarzenie to było przez długi czas przedmiotem opowiadań.

Dziś na przestrzeni, o której wspominamy, powstała dzielnica szczelnie zabudowana i bardzo ludna; to też oprócz domów, należących do instytucyi, wszystkie parterowe od frontu lo-



Z okolic Warszawy. Ogród Szustra.

kale przerobione zostały na sklepy i tym sposobem znikły tu także mieszkania prywatne.

A przecież są ludzie, którzy pamiętają jak na Nowym Swiecie, tam, gdzie dziś teatrzyk Wodewil się mieści (późniejsza posesya pułkownika Lepige), rosło zboże wokoło dworka, w którym ongi była jadłodajnia.

J. H.

Z chwili.

(Do illustracyi.)

Naczelnym prezesem W. Ks. Poznańskiego zamianował cesarz Wilhelm p. v. Waldow'a, dotychczasowego prezesa rejencyi w Królewcu...

Pan v. Waldow znajduje się w sile wieku i uchodzi za dzielnego urzędnika administracyjnego, występującego w kierunku wysoko konserwatywnym.



Nowo mianowany naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego Wilhelm Hans August v. Waldow.

Najpierw był landratem w Marchii, następnie mianowano go nadradzcą rejencyjnym w Królewcu, potem prezydentem rejencyi tamże, zkąd go powołano na naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego.

Że p. v. Waldow sprawę antypolską uważać będzie na swoim wysokim urzędzie jako najważniejszą, o tem wątpić nie należy.

—ski.

Czary i czarownice.

(Dokończenie.)

Opowiadano, że czarownice mogą najniewinniejszy płyn zamienić w truciznę lub napój miłosny, że sporządzają do leczenia chorych maści z trupów, że do czarów używają rączek zmarłych dzieci nieochrzczonych, wątroby wyjętej z trupa żyda, a wreszcie, że do praktyk swoich używają Olejów św. i ubiorów kapłańskich.

Nie chcąc potępiać ogółu, należy przyznać, że nie zawsze obwinieni o czary byli niewinnymi. Było wielu takich, którzy wyzyskiwali łatwowierność większości i rozmyślnie kryjąc się pod płaszczem czarowników, postrachem wymuszali datki od naiwnych, a nawet dopuszczali się zbrodni. Należało więc karać ich za te zbrodnie lub wyzysk. Sędziowie ówcześni jednak pomijali samą zbrodnię, karząc winnych za praktykę czarodziejstwa, a praktyka ta dziś śmieszną nam się tylko komedyą wydać może. Przypatrzmy się im bliżej. Czarownica chcąc sprawdzić suszę — robiła z liści robaki i zakopywała je w ziemię; chcąc odebrać mleko jakiejś oborze — doiła dzwon kościelny lub sznur od dzwona. Pragnąc zaszkodzić komu, kupowano świecę do kościoła, a ten na intencyą którego świeca zakupioną została, dopóty tylko miał żyć, dopóki się świeca nie wypali. Trzymano figurki woskowe, mające wyobrażać tych, którym chciano dokuczyć. Co robiono z figurką — to miało się dziać i z człowiekiem, którego przedstawiała. Dość było przebić figurkę sztyletem, aby dana osoba padła trupem. Chcąc, aby komuś zwinął się kołtun na głowie, chowano pod jego progiem zwitek włosów. Oto głupstwa, w które wierzono w pałacach i chatach wieśniaczych!

Zadziwiającem jednak było, że przeglądając dawne akta sądowe, we wszystkich znaleźć można było jedne i te same zeznania skazanych na śmierć czarownic. Wszystkie twierdziły, że jeździły na Łysą górę, gdzie wyprawiały harce z dyabłami. Zeznania te były długi czas nierozjaśnioną zagadką. Dopiero z czasem zauważono, że mniemane czarownice, przed udaniem się na spoczynek, smarowały się jakąś maścią. Rozbiór chemiczny tej maści dowiódł, że składa się ona z części, mających bardzo wiele własności pobudzania fantazyi we śnie, a mianowicie marzenia o tem, o czem się myślało na jawie. To rozwiązało zagadkę. Żyjąc z myślą o zabawach czarownic, nieszczęsne kobiety śniły o tem i następnie przekonane były, że sen ten był jawą, urojenie — prawdą. Prócz maści, używano też podobnie działających napojów. Pierwszym, który zdołał wykryć używanie przez czarowników proszku pobudzającego fantazyję, był sławny filozof Gassendi. Obserwował on szczegóły działania takiego proszku po zażyciu go przez czarownika, który przyznał mu się do tego, że ile razy zechce być w towarzystwie czarownic, wystarcza mu zażycie posiadanego leku.

Sądy prześcigały się nawzajem w wynajdywaniu męczarń dla czarowników i czarownic. W Polsce w wieku XVI, dopóki prawo sądzenia czarownic spoczywało w rękach sądów wyższych, było jeszcze jako tako, a lepiej, aniżeli w krajach sąsiednich; ale gdy następnie pozwolono sądzić czarowników i sędziom małomiasteczkowym, którzy według zapewnień współczesnych historyków „ani czytać, ani pisać nie umieli,'' nadużycia przybrały charakter zastraszający. „Torturowano bez litości i palono czarownice i czarowników, ludzi razem z bydlętami, ćwiczono publicznie pod pręgierzem matki brzemienne, — pisze tenże dziejopisarz. Znakomity historyk francuzki Michelet opisuje takie fakty: „Pewnego razu wniesiono przed sędziego skargę trzech dam, które jednocześnie uczuły uderzenie niewidzialnej ręki. Niewiadomo dlaczego podejrzenie padło na pewnego młodzieńca. Wezwany przed sędziego, biedak przysięga, że wcale nie zna tych dam, że nigdy w życiu ich nie widział. Sędzia nie chce słuchać tłomaczenia — łzy i prośby nie pomagają. W końcu już wstaje, by dać rozkaz torturowania obwinionego, gdy ten prosi jeszcze o głos i mówi: „Przypominam teraz sobie, że wczoraj rzeczywiście o wskazanej godzinie biłem kogoś, wszakże nie były to istoty chrzczone, ale trzy kotki, które mi pokąsały nogę.'' Sędzia odrazu zrozumiał teraz całą sprawę i biedaka uniewinnił, a to na tej zasadzie, że widocznie owe damy zamienione były w kotki, a zły duch rzucał je pod nogi chrześcian, by któregokolwiek z nich zgubić, ogłaszając czarownikiem.

Niepodobieństwem jest wyliczyć setki tysięcy błędów popełnionych przez sądy w sprawach czarownic, jak niepodobieństwem jest zliczyć ofiar, które zginęły z ręki katów w całej Europie, a tem trudniej, gdy przypomnimy, że nietylko sądy wyższe, ale nawet miasteczka i zamki miały prawo miecza. Mam jednak pod ręką kilka danych statystycznych, które dadzą nam dostateczny obraz zaślepienia i okrucieństwa dawnych wieków.

W Genewie w ciągu trzech miesięcy 1513 r. spalono 500 osób. Roczniki stosunkowo małego miasta Trewiru przekonywają, że zginęło tam na stosie około 7,000 osób. Roku 1524 małe miasto Como we Włoszech spaliło 1112 osób oskarżonych o czary. Jeden z pisarzów ówczesnych, opisując stan Francyi powiada, że więzienia przepełnione były czarownikami. We Würtzburgu spalono 800 osób, posądzonych o czary, w Bambergu 1500,

pomiędzy któremi był chłopiec jedenastoletni. W Hiszpanii za Filipa V, spalono przeszło 1600 osób, jako czarowników i czarownice. W 1485 sędzia Cumamus skazał 41 kobiet na stos, a gdy i w latach następnych nie ustawał w gorliwości, lud opuścił całą okolicę. W Piemoncie jeden z sędziów, Alciat, podpisał 350 wyroków skazujących na spalenie za czary; w końcu lud oburzony okrucieństwem fanatyka chciał go zamordować. Mikołaj Remi w XVII wieku przechwala się, że w ciągu roku kazał spalić około 900 czarowników. Girlandus z Lotaryngii wyznaje, że spalił ich 1770, Del Rio przyznaje się do 900, Raguet do 500, a Badin do 600.

We Francyi procesy o czary ustały dopiero za czasów Ludwika XIV, który wydał edykt, zabraniający sądom przyjmowania tego rodzaju spraw. Długi czas jednak lud wierzył jeszcze w czary, bo oto w Szwajcaryi historyka Müllera omal nie zabito za to, że czytał książkę łacińską. W r. 1768 zaledwie królowa szwedzka osobiście zdołała wyrwać z rąk rozwścieczonego tłumu 12 kobiet oskarżonych o czary. W Hiszpanii i Bawaryi znajdujemy wyroki już z pierwszych lat ostatniego stulecia, jeszcze skazujące na śmierć czarowników.

W Polsce pierwsze egzekucye posądzonych o czary znajdujemy w dziejach XVI wieku. W r. 1556 synod w Łowiczu skazał na spalenie Dorotę Łażęcką za czary.

W Prusach pławiono czarownice w r. 1588.

W r. 1625 w Kozienicach (gub. radomska) spławiono siedem czarownic, posądzonych o sprowadzenie suszy. Po spowiedzi, ubrano je w białe koszule i zawieziono na wozach, zaprzężonych w woły bez rogów do wody. Dwie, nieumiejące widocznie pływać, utonęły.

Na początku XVII stulecia, gdy u Tatarów osiadłych nad Niemnem znaleziono pieniądze z napisami arabskiemi, posądzono ich, że mają znaki niezbędne do czarów, a skutkiem tego padło kilku ofiarą przesądu. Historyk Erndtel wspomina o pewnej Polce z Poznania, która wodną puchlinę przypisując czarom swoich sług, kazała ich 13 spalić na stosie. W Kaliszu w r. 1664 spalono Agnieszkę Podgolankę za to, że się „udała do złych spraw i czartowskich konwersacyi, na miejscu niezwyczajnem, z duchami Majestatowi Bozkiemu przeciwnemi biesiady zażywała,“ jak opiewa przechowany w aktach wyrok. W Koźminku w połowie XVII wieku spalono dwie kobiety za obcowanie z szatanem, a w r. 1690 mężczyznę i 4 kobiety, z których jedna posądzona była o czary „bo lubiła samotność i kryła się w lasach.“ W r. 1719 w Pyzdrach spalono pięć czarownic na rozstajnych drogach. Czacki pisze, że w czasie zarazy morowej w r. 1770 spalono „upiorzycę.“ W dziele Kolberga p. tyt. „Kujawiacy“ czytamy, że jakaś kasztelanowa R. w Konarzewie pod Kruszwicą kazała spalić żywcem dziewięć czarownic.

W końcu zaznaczę, w jaki sposób poznawano czarownicę. W Holandyi człowiek ważący mniej niż określoną normę, był niewątpliwie czarownikiem. W Polsce wierzono, że kapłan podczas Mszy św. widzi w patynie wszystkie czarownice będące w kościele, ale wydać ich nie może. Posądzoną o czary wrzucano do wody — jeżeli nie utonęła, uznawano ją za czarownicę i na stos skazywano...

L. V. J.

Wróć do nas wiosno...

Wróć do nas, wiosno, luba i miła,
Z zamorskich krain, z nadziemskich sfer
Długo nas zima sroga dręczyła,
Zniwecz jej berło, jej rządów ster!

Oddechem ciepła stop straszną jędzę,
Której nas ziębi wzrok groźny, łzy,
Zarzuć na padół przejrzystą przędzę,
Przed którą znikną śniegi i mgły.

Zimna królowa zejdzie w ciemności,
W tartaru więzy, w krainę snów,
Bo skona o twą młodość z zazdrości,
Od woni kwiatów i ptasząt mów.

Za tobą tęsknią starzy i młodzi,
Bo ty im niesiesz życzenia rój,
Przy twym uśmiechu zboże się rodzi —
Kwiecisty, barwny twej szaty strój.

Wszechświat cię wielbi, kocha twe wdzięki,
Gdy zefir lubym poddmuchem tchnie,
Toż za dotknięciem lekkiem twej ręki
Miłe są ranki, pogodne dnie.

Wróć do nas wiosno, królowo Flory,
Wraz z tobą zabrzmi artystów śpiew,
Uwieńcz zielenią błonia i bory,
Niech w nich rozbrzmiewa pastuszków śmiech!

Z tobą bociany, jaskółki wrócą,
W powietrzu gwarno od pszczółek, much,
Słowiki w krzakach hymny zanucą,
Wesoło spojrzy Febus, twój druh.

Wiosenko luba! wiosenko miła!
Naszą tęsknotę za tobą skróć,
Długo nas zima sroga dręczyła,
Wróć do nas, wiosno urocza, wróć!

Poznań, 1. 3. 1903.

Stanisława R.

Przed ślubem.

Obrazek z życia w Anglii.

Blask lampy, przysłoniętej abażurem pomarańczowej barwy, spływał na ciemną głowę młodej panny, pochylonej nad kanwową robotą, kładąc miedziano złoty połysk na falisto pokarbowane włosy i różową gazę na szczupłą twarz o ostrych rysach. Raz po raz figlarny uśmiech drgał w kącie ponsowych, mięsistych warg, wplatając się w tkaninę jej myśli, jak jasna nić w kanwową siatkę. Zadowolenie opromieniało lica trochę blade z wydatnym nosem, a piwne oczy odrywały się od roboty, i przechadzały po cichym, bawialnym pokoju, zatrzymując się na mnogich strojach, rozłożonych tu i owdzie ostentacyjnie, oraz na pudełkach, kryjących inne sztuki krawieckiej dzieła, przeznaczone na wyprawę.

Wyprawa! Co za świetna instytucya! Sprawunki, zakupy, przechadzki po magazynach wypełniają czas i życie arcy przyjemnie; nic bowiem lepszego nie wymyślił geniusz ludzkości nad wydawanie pieniędzy. Cóż dopiero, gdy przyjdzie nabywać różne niepotrzebne rzeczy, łamać sobie głowę nad tem, co elegancka osoba powinna potrzebować. Tu objawia się wykwintny, artystyczny smak i tu rozpoczyna się prawdziwa, wyższa uciecha. Wprawdzie przy peregrynacyach asystuje zwykle matka ze skwaszoną miną, niby indyczka krzywem okiem patrząca na swą dziatwę, pożerającą chciwie strawę, gdera, marudzi, doradza tańszy towar, lecz przed ślubem jej namarszczona, patryarchalna postawa wzbudza tylko pokątne chichoty. Niechaj się matczysko jeszcze trochę obleka w powagę, bo za tydzień Miss May Clifton będzie już panią.

Pani!... Słowo to brzmi melodyjnie w uszach panien, tem piękniejszą gra muzyką, ponieważ wypada udawać, iż ten tytuł niema wartości. A tymczasem nie jest on wcale łatwym do zdobycia, bo niezbędnym do tego jest mężczyzna, przedmiot pojawiający się na giełdzie matrymonialnej w ilości niedostatecznej i sprzedający się z trudnością, nawet w poślednim

gatunku. Jakoż na nieurodzajnym brzegu Rubikonu siedzą panien szeregi, spozierając nieznacznie na przeciwległe zielone sioła, tak blizkie a przecież odcięte od nich wstęgą rzeki, w której grzęzkich wodach przepadła nie jedna niecierpliwa dziewica. Lecz Miss May Clifton znalazła swego żeglarza!

Edward Wood nie przypomina wprawdzie ani byronowskiego korsarza, ani sławnych żeglarzy, ale... otóż on sam pojawia się niespodzianie, mimo, że dziesiąta na zegarze.

— Sama jesteś? — spytał młody człowiek wysokiego wzrostu, we fraku z ciemnymi włosami, przyczesanymi szczotką fryzyera i lśniącymi, jak nieskazitelny gors koszuli. Złożywszy pocałunek na licach narzeczonej, zajął miejsce w fotelu i utkwił w nią swe wyłupiaste oczy, patrząc zawsze prosto przed siebie z wyrazem niemego osłupienia i niby żóraw, wyciągając naprzód długą szyję, oparkanioną niezwykłej wysokości kołnierzykiem.

— Niema nikogo; ojciec drzemie w fajczarni, wróciwszy dopiero co z klubu.

— A gdzie pani Clifton i twe siostry?

— Edwardzie, nie stawiaj tak stereotypowych pytań! Gdyby cię nawet posłyszano, nie wymówiłbyś w nikogo, że przyszedłeś zobaczyć przyszłą teściową — rzekła panna Maja, nie odrywając oczu od roboty.

Edward ziewnął dyskretnie:

— Czy nie masz nic przeciwko temu, że zapalę cygaro?

— Nie tutaj! Powinieneś mieć wzgląd na moje stroje, których nie zaszczyciłeś ani przelotnem spojrzeniem. Nie masz poczucia piękna!...

— Wracam z klubu, gdzie zastałem Croft'a.

— I piłeś znim koniak... Pytanie, czy koniak, czy Croft, jest odpowiedzialnym za twą tajemniczo mądrą fizyognomię.

— Czy pani Clifton poszła na wieczór do państwa Barnesów? — zagadnął znowu, chcąc odwrócić rozmowę na inny przedmiot, i ciągnął usprawiedliwiająco: Winienem przecież zapytać!...

Urwał i zamilkł, bo Maja podniosła nań badawcze oczy, które zdały się przeczytywać go na wylot.

— Słusznie; wypada zapytać o panią domu, ale czemu koniecznie domagać się odpowiedzi!?

— Zaciekawiłaś mnie, intrygujesz.

— Nie może byc... Byłabym bardzo rada, drogi chłopcze, gdyby mi się częściej udawało zaciekawić cię — rzekła narzeczona z nabożnem westchnieniem. — Mama i siostry poszły, wyobraź sobie... poprostu do państwa Barnesów, gdzie oczekiwano kilku dżentelmanów.

— Dlaczego im nie towarzyszyłaś? Nie obiecałem się przecież na dziś wieczór.

— Nie lubię męskiego towarzystwa.

— O!... Od kiedy?

— Od czasu, gdy... znam ciebie, mój drogi, gdy jestem narzeczoną... poprawiła się Maja i ciągnęła żywo: — W tej przejściowej fazie przenoszę stanowczo kobiety. Matrony zerkają na mnie z tak karmelkowym uśmiechem, jakby zazdrościły, albo pragnęły osłodzić narzeczonej czekające ją rozczarowanie. Tymczasem matki panien na wydaniu sznurują usta do komplementów, myśląc w duszy i szepcąc za drzwiami: „ach, jak mi żal jej przyszłego męża!...“ Panny również nie mogą się powstrzymać od uszczypliwych uwag, w poczuciu jednak, że wyrosłam ponad ich głowy, otaczają mnie kołem, zarzucając tysiącem pytań, ciekawe, jak panna się czuje, będąc narzeczoną. Jednem słowem, w kole kobiet jestem kimś.

— A wśród mężczyzn?

— Mężczyźni?! Okrutni dla narzeczonych panien, jakby się chcieli pomścić... Witają mnie spojrzeniami, które zdają się mówić: „Cieszysz się, gąsko?!“... A potem przysiadają się do innych panien, chcąc im niejako dać do zrozumienia, że nie wchodzę w rachubę, żem ani rak, ani ryba, że im wcale nie przykro, iż uprzedził ich ktoś mędrszy...

Tu Maja przesłała Edwardowi piękne spojrzenie, a on, przysiadłszy się bliżej, zaczął okrywać pocałunkami jej rękę, mówiąc:

— Dzięki ci „dear“... Dawniej innego byłaś zdania o płci męskiej i nie znosiłaś kobiet. Czy Frank Croft postradał wszystek urok w twych oczach?

— Już zaczynasz zamieniać się w inkwizytora! Czemu przypisać twój namarszczony wyraz twarzy? Popraw krawat!

Pan Wood poprawił krawat, cedząc:

— Bo przyszły mi do głowy refleksye poważnej natury.

— Przyznam ci się, że nie jestem zbyt ciekawą, bo rola głęboko myślącego mężczyzny nie leży w zakresie twych zdolności. Trzymaj się średnicy, pozostań przeciętnym obywatelem, który nie zatapia się w zagadnieniach filozoficznych, a w życiu społecznem nie wychodzi po za kwestyę psich kagańców i wodociągów.

— Wyznam ci jednak, że myślę...

— Ah, Edwardzie, nie myśl!... — zawołała opryskliwie narzeczona. — Łańcuch twych głębokich myśli kończy się zawsze czemś nierozsądnem. Ale mów już!...

Zbity z tropu Edward sięgnął w zanadrze po papierośnicę.

— Zapal papierosa, dear, — rzekła łaskawym tonem zrezygnowana panna — jeżeli to przyśpiesza twe funkcye umysłowe.

Przysłoniwszy oblicze kłębem dymu, młody człowiek ozwał się uroczyście:

— Wiesz, co myślę?

Maja wyjątkowo nie wiedziała.

— Dziwna rzecz, że instytucya małżeńska stoi na kruchych nogach...

— Zwłaszcza po wyjściu z klubu — bąknęła do siebie zamroczona Maja.

— I chyli się ku upadkowi, jak twierdzi!...

— Croft — wpadła rozczerwieniona narzeczona. — Straszny człowiek, który wziął sobie za zadanie przewracać w głowie przykładnej młodzieży.

— Od pewnego czasu wcale mu nie sprzyjasz. Alež on Bogu ducha winien...

— To żałuję srodze zawiedzionego nieba.

Wobec nadchodzącej nawalnicy Edward drapał się za uchem z ujmą dla swej fryzury.

— Czytałaś seryę artykułów w „Psotniku“? — zaczął z innej beczki.

— Nie, ale ty widocznie czytałeś, a więc powtórz ich treść!

— Otóż... z listów, pomieszczonych w tem piśmie, można jedynie wywnioskować, że instytucya ta przestarzała się, wymaga reformy...

— Rozpoczynasz, jakbyś, mając ajencyę matrymonialną, robił liche interesy — zauważyła spokojnie Maja, gotowa stawić mu czoło, lecz z pewnym niepokojem spozierając w zakłopotane oblicze narzeczonego.

— Owóż pewna korespondentka przemawia wymownie za sformułowaniem ścisłej ugody małżeńskiej na piśmie, za wyszczególnieniem praw obojga stron, oraz złożeniem w archiwach odpowiedniego kontraktu, który winien być uwzględniony przed trybunałem rozwodowym. Kilka innych głosów popiera ten pogląd różnymi argumentami, upominając młodzież, aby korzystała ze smutnego doświadczenia ojców.

— Korzystać z innych! Z rodziców! Piękna zasada!... Zresztą związek mych rodziców ukoronowało szczęście; ja, moje siostry i bracia jesteśmy żywym tego dowodem!

— Ja też tego nie twierdzę, pow-

tarzam tylko za głosami osób doświadczonych, że zdarza się, iż jedna lub druga strona rości sobie wygórowane pretensye, uzurpuje prawa...

— Których druga dzierżyć nie zdolna.

— W świetle tych artykułów małżeństwo przedstawia się jako nieustanna walka dwu indywidualności, jako czyściec...

— Czy nie lepiej — ozwała się wyniośle Maja głosem podniesionym — pozostawić wszelkie reformy matrymonialne w dłoniach starych panien, którym teorye muszą zastąpić praktykę?!... Lis, nie mogąc dosięgnąć winogradu, utrzymuje nietylko, że winogrono jest kwaśne, ale nawet, że tarnina, którą ma w zębach, jest jedynie słodką. Stąd kampania przeciwko małżeństwu... Wstydź się, Edwardzie, wydzierać im z ust jedyny pokarm, jedyną pociechę!

— Bądź, co bądź, dobrze zastanowić się przed takim ważnym krokiem bąknął Edward ze spuszczoną głową.

— Ależ zastanawiałeś się nad tem przez długie dwa lata, zanim przyszedłeś do przekonania, że potrzeba ci takiej, jak ja, kobiety, że bezemnie nie poradziłbyś sobie w życiu, że mnie ubóstwiasz. Prawda?

— Tak jest, dear... — odparł z cicha narzeczony.

— A zatem, nad czem sobie łamać głowę?! Gdybyś w handlu namyślał się tak długo, czy zrobić interes, ubiegłoby cię stu innych. Małżeństwo zaś, mój drogi, jest najlepszym interesem; w najgorszym razie mężczyzna jeszcze zyskuje. Zyskuje przez kobietę. Powtóre, żonaty człowiek przedstawia się na widowni światowej stokroć godniej i poważniej... Gdy przestąpisz progi hymenu, nie będziesz mógł pojąć, jak mogłeś istnieć przez lat dwadzieścia siedm bezemnie! Jesteśmy dla siebie stworzeni. Gdybyś był poznał mnie wkrótce po przyjściu na świat, już wówczas wydzierałbyś się od mamki do ołtarza!...

Edward roześmiał się głośno.

— Cyt, zbudzisz ojca! — szepnęła Maja z uśmiechem tryumfatorki, powstając. Jestem ci winną całusa za to, że zrobiłeś mi tak miłą niespodziankę swoją wizytą.

To rzekłszy, zarzuciła na ramiona bogaty strój poranny i, stanąwszy przed zwierciadłem, zerkała na narzeczonego, który z rękoma, wspartemi na kolanach, przyglądał się jej, jakby oczekując niespodzianki.

— Nie znajdujesz, że ten negliż jest cudowny?... Jestem ci winna jeszcze drugiego całusa za to, że zabawiłeś mnie tak zajmującą rozmową.

Postać jej, osłonięta różowym płaszczem, niby szatą królewską, powłoczystą, zakreślającą wielkie półkole na dywanie, wydała się wyższą, okazalszą i wdzięczniejszą. Stożkowate ramiona kryły się pod fałdami, ciemne włosy odbijały się od tła różowego, figura załamywała się w pięknych liniach.

— Czy ostatecznie nabyłeś garnitur mebli do salonu?

— Wybrałem stare meble Chippendal'a.

— Jaki ty masz wybredny gust, Edwardzie! — rzekła z czułością, oplatając jego szyję ramionami i przytulając zapłonioną niewinnie twarz do jego piersi.

— Piękny negliż, ani słowa — mówił Edward po chwili. — Bardzo ci w nim do twarzy. Ile też kosztuje?

Na to Maja opuściła ramiona i spojrzała nań ostro.

— Edwardzie, cóż cię to może obchodzić? Dotychczas przecież nie płacisz rachunków za me stroje!... Czy pytam ciebie, ile wydajesz na wino i cygara?!..

Młody człowiek chciał uniewinniać się, przepraszać i całować ją, gdy nagle doszedł ich odgłos kroków z drugiego pokoju i ukazała się w drzwiach gruba postać pana Cliftona. Przez chwilę, trzęsąc się cały od tłumionego śmiechu, wodził roziskrzonemi oczyma po młodej parze, która z powarzonemi minami przydybanych winowajców stała przed nim bez ruchu, bez słowa... Wreszcie roześmiał się i rzekł z przekonaniem:

— Dzieci nowych czasów! Świat postępuje!... Za moich czasów rozmowy w tym rodzaju toczyły się dopiero po ślubie!

Maciej Wierzbiński.

Kochałem.

Kochałem dziewczę..... czarne miała oczy,
Z nich płynął błyskawic strumień,
A w białem licu sen jakiś uroczy
Wybrylantował ślad tęsknych zadumań!

Kochałem dziewczę... obrazek Madonny,
Świat w jej spojrzeniu i życie widziałem!
Ale już minął czas niepowrócony,
Gdzież dziewczę moje?... Gdzież skarb co kochałem?...

A piękną była moich snów królowa...
Kwiat najpiękniejszy w bożych kwiatów wianku!
Piękna jak zorza letniego poranku,
Gdy zapłoniona przed słońcem się chowa
Piękna — bo dusza i miłość u łona
Tak szczera, prosta — jakby dziś stworzona!

Pamiętam sobie ten uśmiech pustoty,
Gdy polnem kwieciem obrzucała włosy,
Albo znów łzawe spojrzenie w niebiosy
I twarz, owianą bladą mgłą tęsknoty...

Wesoła — smutna w przemiany, jak dziecię,
Źrenic pożarem, cichem piersi tchnieniem,
Tak mnie bywało w snów widziadła wplecie,
Tak oczaruje ognistem wejrzeniem —
Że radbym, tuląc jej dziewiczą postać,
W jednym całunku nieskończoność dostać!

Potem... dnie walki — rumieńca — i szału,
Szczęście bez granic — wspólne myśli — tchnienia —
Potem... łez kilka, a z niemi pomału
Żal za przeszłością... i wyrzut sumienia...

A potem uśmiech przez łzy się wychyla,
— Przebaczam — szepcą koralowe usta...
I znów wesoła, i jak dziecko pusta,
I znów niejedna upojenia chwila.....

Wszystko pamiętam.... Dziecko snów i marzeń
Wierzyłem w związek — co zwią „niezłamany" —
Duszę, namiętną i pragnącą wrażeń,
Wziąłem za uczuć zdrój niewyczerpany.

Marzyciel w pieśni... przymknąłem powieki,
Patrząc przez ułud tkań w kobiece serce,
Widziałem płomień — gdzie w bladej iskierce
Błyszczała resztka przeszłości dalekiej.

I tak rok minął... Ha! czas niepowrotny,
Już ukaraną wiara zaślepiona,
I dziś na świecie zostałem samotny!...
Gdzież mego życia anioł jest?.... Gdzież ona?...

Feliks Kozubowski.

OCALENIE.

Po kawie w oberzy w Carrieres, pod lipami, zabrałem moje przybory do łowienia ryb i poszedłem nad rzekę, cudnie mieniącą się w słońcu. Ładna była, pogodna i uśmiechająca się ta rzeka, jak kobieta w chwili zdrady; słaby powiew wiatru kędzierzawił tylko zlekka jej gładką powierzchnię.

Naraz po drugiej stronie wyspy, wołanie przeciągłe, żałosne, jak zawodzenie puszczyka, rozdarło spokojne powietrze. Polyte, przewoźnik, potrącając mnie, przeskakując prawie przezemnie, rzucił się do swojego czółna.

— Ustąpże się pan, na miłość Boga! Ktoś się topi, tam!

— Jesteście pewni?

— Najzupełniej. Znam tę głębię po tamtej stronie.

I pomknął, robiąc z taką siłą wiosłami, że boki czółna trzeszczały. Wskoczyłem także do łodzi i popłynąłem w ślad za nim.

Niebawem, zobaczyłem dwie głowy wynurzające się z wody: jedną małą, posiniałą, przechyloną ku drugiej, z błędnemi oczami, z zaciśniętemi nozdrzami, z rozwartemi ustami, zkąd zdawało się, nie wychodził już oddech. Dokoła tych dwóch twarzy z wyrazem konania, słabe falowanie wody wskazywało, że jedno już tylko ramię pracowało za dwoje. Patrzyłem osłupiały. Przewoźnik tymczasem, dwoma ostatniemi uderzeniami wioseł zbliżył się do topielców, padł na kolana, wyciągnął ku nim ramiona i przyciągnął ich do siebie swojemi żelaznemi rękami. Małego porwał pod pachę i położył go w czółnie, podczas gdy starszy, odzyskując życie z chwilą uwolnienia go od ciężaru, przyczepił się do czółna obydwoma rękami. Ochłonąwszy, podpłynąłem do Polyte'a.

— Nie ma już niebezpieczeństwa! — zawołał Polyte.

— Wytłumiłem smarkacza, oddał wodę. Oddycha coraz lepiej i otwiera oczy... A krucho już z nim było! Ostatni był czas!

— A drugi? — zapytałem przerażony, widząc tylko dziecko.

— O! drugi — odrzekł ironicznie Polyte — drugi kąpie się dalej.

Widząc jednak moje pomięszanie, trącił mię łokciem i wskazał dwie ręce przyczepione do kraju czółna, szepcąc mi:

— Drugi to kobieta... Nie chce się pokazać, bo jest bez krawatki... Pani Skromność, cóż!

Nachyliłem się i zobaczyłem pełną twarz, krótko ostrzyżone włosy, białą szyję, a pod kamizelką czy koszulą z szarego płótna kryły się dwie niewieście piersi i podnosiły się szybko po przebytem wzruszeniu. Reszta — bielizna czy ciało, gubiło się w modrej, ponurej głębi rzeki.

Podczas gdy Polyte zajmował się dzieckiem, zwróciłem się do kobiety.

— To nierozsądnie, przeziębi się pani... trzeba wejść do czółna zaraz.

Uśmiechnęła się, spuszczając skromnie oczy.

— Dziękuję panu, byłoby mi zimniej na powietrzu. Zresztą umiem dobrze pływać... bardzo mi tak dobrze. Nie męczę się wcale, trzymam się czółna. Wolę tak...

— Jeśli się pani wstydzi pokazać, nie będziemy patrzeć na panią. Ale po takiem wzruszeniu, trzeba iść do oberży zagrzać się, posilić, zmienić ubranie.

Obruszyła się i prosiła mię półgłosem:

— O! nie, panie, oh! nie!... Dziecka wcale nie znam, a skoro mu lepiej, powiedz pan temu człowiekowi niech je zaprowadzi do oberży... co do mnie, pozwól mi pan przyczepić się do swojej łodzi i dopomóż mi w ten sposób dostać się na brzeg, pod te wierzby, gdzie zostawiłam moje ubranie. Tem mi pan odda przysługę, prawdziwą przysługę!

W jej głosie było tyle serdecznej prośby, że powiedziałem przewoźnikowi to, czego sobie życzyła. Wzruszył ramionami:

— Nieszczęście! Cóż ona, może myśli, że nigdy nie widziałem kobiety?... Siedzi to po szyję w wodzie ledwo żywe i takie robi komedye!

Zgodzi się jednak przez wzgląd na dzieciaka. Kobieta porzuciła jego barkę, przyczepiła się do mojej i Polyte odpłynął, znikając za wyspą. Wiosłowałem ku małej grupie wierzb; widząc jednak, że przyszła zupełnie do siebie, nie spieszyłem się, zaintrygowany, chcąc się od niej czegoś więcej dowiedzieć.

— Proszę mi teraz powiedzieć — odezwałem się — jak to się stało. Czy pani się kąpała z tym malcem? Czy wpadliście razem w tę głębię?

Utkwiła we mnie swoje jasne, niebieskie oczy i odpowiedziała:

— Ależ nie, nie! Nie myślałam o niczem. Zdążałam do Poissy ścieżką wzdłuż rzeki. Minęłam właśnie tego dzieciaka, bawiącego się na brzegu, kiedy nagle usłyszałam wielki plusk. Obracam się i widzę go znikającego pod wodą. Nikogo na brzegu. Wszystka krew uderzyła mi do głowy. Podbiegłam pod wierzby, zrzuciłam z siebie to, co mię mogło krępować w pływaniu i skoczyłam do wody. Znalazłam zaraz dzieciaka, ale nie mogłam go przyciągnąć do brzegu, zanadto był ciężki. Siły zaczęły mnie opuszczać. Trzymałam się ponad wodą, ale nic więcej. Krzyknęłam... raz tylko, i krzyk ten wyczerpał mię do reszty. Zdawało mi się, że tam, na brzegu ktoś się porusza... później wyspa zakryła mi wszystko. I nic już nie widziałam... Nie mogłam już... zdrętwiałam. Malec ciężył jak ołów... woda robiła się coraz zimniejsza; ściskała mi pierś, gardło, dusiła mnie.

Kobieta skończyła opowiadać swoją przygodę, kiedy przybiłem do brzegu, pod wierzby. Stanęła na dnie rzeki, nie wychodziła jednak.

— Jestem. Dziękuję panu, z całego serca dziękuję. Nic już nie potrzebuję... Może pan wracać.

— Nie, zaczekam, ażeby się przekonać, czy ubrawszy się, będzie pani miała dość siły do przebycia dalszej drogi.

— Nie, panie, to by mię w kłopot wprawiło. Tyle mi pan okazał delikatności! Niechże pan już będzie takim do końca. Proszę, oddal się pan, nie zajmuj się pan mną więcej, pozwól mi pan wyjść, nie oglądając się nawet.

— A więc... żegnam panią!

— Przyrzeka mi pan nie wrócić?

Przyrzekam.

— Dziękuję panu, dziękuję.

Ciekawość moja jednak zanadto była podniecona tą tajemniczością, żebym mógł dotrzymać słowa. Okrążyłem też szybko wyspę i podpłynąłem niedaleko miejsca, gdzie zostawiłem młodą kobietę. Wyszedłem na brzeg bez hałasu i ukryłem się w trzcinie, tuż przy ścieżce, prowadzącej do Poissy. W kwadrans później odgłos kroków, szelest trawy i gałęzi uprzedziły mię. Obróciłem głowę i nie spuściłem oka z zakrętu ścieżki. Idąc prędko, w nasuniętym na czoło kornecie, ukazała się zakonnica. Czy to ona? Wyskoczyłem z trzciny i zagrodziłem jej drogę. Podniosła twarz, poznała mnie i odezwała się z odcieniem smutku w głosie:

— Oh! panie... nie dotrzymał pa słowa, to nieładnie, to bardzo nie ładnie!

I dwie małe łzy wytrysły z jasnych oczu dobrej siostry, stoczyły się po zaczerwienionych policzkach i zrobiły dwie wilgotne plamki na jej białym habicie.

Karol Foley.
Tł. *Z. K.*

Helena Modrzejewska na naszej scenie.

(„Jesiennym wieczorem“ — obrazek G. Zapolskiej. „Warszawianka“ — Pieśń Wyśpiańskiego. „Narcyz Rameau“ — sztuka Brachvogl'a.)

Gabryela Zapolska jest aktorką w literaturze, przejmującą się z wielką wrażliwością kamertonem doby bieżącej, płynącą z prądem chwili pod egidą tego lub owego głośnego pisarza tak, iż staje się wiernym jego odwdziękiem. Przy całej jej niepospolicie bujnej sile twórczej, przy wysoko napiętem poczuciu artystycznem i znakomitej technice uderza ogromny brak samoistności i, co z tego wynika, szczerości. Całokształt przeto jej utworów powieściowych i dramatycznych przedstawia się jako jaskrawe pasmo sprzecznych pierwiastków, metod i nastrojów, nacechowane stemplem autorów tak różnolitych jak Zola, Tołstoj, d'Annunzio. Zapolska jest „jak tęcza,“ olśniewająca wstęgą barw i „jak liście“, które wiatr ponieść może — trudno przewidzieć dokąd. Któż zaręczy, czy z pod pióra, które skreśliło „Kaśkę Karyatydę,“ nie wyjdą jutro nabożne rozmyślania pustelnika?!

Obrazek „Jesiennym wieczorem“ — napisany dla Modrzejewskiej — ma swe źródło w literaturze Maeterlincka. Ten sam tajemniczy, mistyczny nastrój, który przysłania „Intruza“ belgijskiego modernisty, powleka krepą pozagrobowej melancholii utwór Zapolskiej. Nad grupą osób zanurzonych w czerni smutku zawisł duch zmarłego na Sybirze Stanisława. Gdy wicher jesienny uderzy o szyby dworu, targnie drzwiami i podwoje zawierają się z łoskotem, zda się, że to dzieło niewidzialnej ręki, że wtargnęło coś z po za świata do mrocznej komnaty żałości i smutku.

Wdowa po zmarłym w katorżni tonie we łzach, w żalu, lecz pokrywa tajemnicą zgon ukochanego przed zgrzybiałym ojcem męża, by nie zabić starca stojącego na progu śmierci. Żyje on bowiem myślą o synu, z nadziei ujrzenia go czerpie iskrę otuchy, podczas gdy synowa, której niskiego pochodzenia człowiek starej daty zapomnieć nie może — pozostaje mu zawsze obcą. Atoli Lena z poświęceniem oddaje się pieczy starca, z heroizmem krzepi go czytując mu wrzekome listy Stanisława, pisując doń odpowiedzi. W rocznicę śmierci męża smutne myśli niby kruki zawisły nad głową nieszczęsnej, jesień sypiąca do nóg jej uwiędłe liście potęguje mrok w bolem przeżartej duszy a gdy wicher obala w ogrodzie krzyż na grobie męża, niebaczne słowo śmierci Stanisława wyrywa się z ust jej w obecności starca, który chwyta je, woła: przysięgnij, że on żyje! Marya — przysięga i smętna cisza wkrada się znowu w wygasłe ognisko dwojga istot, rozdzielonych przesądem.

Wystawa, uscenizowanie, i gra artystów złożyły się na doskonałą całość, na zachowanie nastroju od początku do końca. Nasza znakomita artystka nastroiła się na ton pogrzebowy, mówiła dyskretnym przygasłym głosem i wiał od niej przejmujący smutek.

P. Czerniak jako ojciec zmarłego wywiązał się z swej roli bardzo zaszczytnie, tak iż należy mu się szczere uznanie. P. Królikowska jako piastunka zmarłego przystosowała się bardzo dobrze do tonu sztuki. Całość nie pozostawiała zgoła nic do życzenia, a jeżeli nie wywołała dość silnego wrażenia to wina autorki, która nie posiada w swej lutni struny uczuciowej.

⁂

Marya w znanej nam dobrze „Warszawiance“ nie należy do najświetniejszych kreacyi Modrzejewskiej, ale nacechowana była potężnym talentem mistrzyni słowa, przebijającym się i olśniewającym wszędzie i zawsze. Subtelne zrozumienie wizyonerskiej, najeżonej trudnościami roli, wycieniowanie gry, efektowne podkreślenie niektórych szczegółów i szlachetny styl mogą służyć za wzór naszym aktorom, którzy też z występów naszej *divy* wyciągną niemałą korzyść.

O grze innych aktorów mówiłem dawniej. Tu podnieść tylko należy, że wszyscy z zdwojoną starannością wywiązali się z swych zadań, a końcowy, piękny moment, w którym nuta patryotyczna rozbrzmiewa pod niebiosa, sprawił odpowiednie wrażenie i, dzięki Modrzejewskiej, mieliśmy bardzo udatne widowisko „Warszawianki.“

⁂

„Narcyz Rameau,“ zapomniana, ongi najpopularniejsza z sztuk Brachvogela utrzymuje się jeszcze na deskach scenicznych dzięki ciekawej osnowie, oryginalnej postaci bohatera i efektom scenicznym, stanowiącym bodaj jedyną zaletę dramatu. Treść mija się całkiem z prawdą dziejową; autor wprowadził postać niehistoryczną i wyznaczył jej w życiu margrabiny Pompadour i dworu piętnastego Ludwika rolę, jakiej nie zajmował. Nadto zmienił dowolnie charakter pierwszego ministra i kazał umrzeć potężnej władczyni króla i Francyi wśród okoliczności, które nie istniały.

Z scenicznego punktu widzenia fabuła zawiera bogaty materyał podatny do scen o wysokiem napięciu dramatycznem, którego twórca jednakże nie uchwycił dość zgrabnie i nie uwydatnił odpowiednio. Pod względem dyalektycznym sztuka nie wychodzi po za granice pospolitości; musimy przeto uznać ją za rzecz literacko słabą, tem więcej, jeżeli zważymy, że opiera się na dziwacznej premisie, grzeszy mocno przeciwko psychologii a postać bohatera narysowana blado.

Jednakże rola marzycielskiego półfilozofa, siejącego aforyzmami, człowieka o sercu tkliwem i zbolałem, a języku ciętym, nader wdzięczne przedstawia pole dla aktora charakterystycznego, który może wynieść Narcyza do wielkich wyżyn duchowych, wykazać talent twórczo-aktorski. W ogólnym zarysie w interpretacyi pana Rygera mógł zadowolić każdego; szkoda wszakże, że p. R. nadużywa swego pięknego organu. Obok Narcyza inne osoby schodzą na drugi plan, a aktorzy nie potrafili uwypuklić ich, wysunąć naprzód z cienia. P. Andruszewski traktował rolę księcia de Choiseul szkicowo, pani Królikowska epizodyczną, bezbarwną rolę królowej Maryi Leszczyńskiej zatarła jeszcze więcej, niż autor. Pani Orwid jako lektorka królowej miała szczególne momenty. P. Wiślański koniecznie winien pracować nad dykcyą, a więc wyleczyć się z bezmyślnego wyrzucania słów oraz zwrócić baczną uwagę na ruchy zbyt rzutkie i zamaszyste, które nie pozwalają mu uwydatnić sympatycznej powierzchowności i dobrych warunków, jakie posiada do ról amantów.

Margrabina Pompadour to królowa pewna siebie, ufna w swą potęgę, dumna, a przytem kobieca. Z czułością tuli do łona głowę Narcyza, a gdy on nagle poczyna z piedestału dziejowego ciskać jej w twarz słowa gorzkiej jak piołun prawdy, gama uczuć gra na licach umierającej. Przepięknie uwydatniła Modrzejewska moment, w którym słynna kurtyzana wije się pod obuchem filipiki Narcyza i harda, nieugięta nawet w obliczu śmierci wypowiada słowa, przypisywane Ludwikowi XV.: „niech i tak będzie!... Po mnie..... potop!“

⁂

Ostatnie spektakle były nieprzerwanem pasmem owacyi dla naszej

divy, która wniosła do naszego przybytku dramatycznego tyle świetnych promieni.

W środę front sceny pokrył deszcz kwiatowy, wspaniały wieniec od redakcyi „Dziennika Poznańskiego“ spoczął u nóg Modrzejewskiej, kosze i bukiety kwiatów goniły jeden drugi. W piątek na widowisku benefisowem p. Feliks Stradiot imieniem współpracowników sceny podziękował dostojnemu gościowi wymownie za inicyatywę do tegoż przedstawienia, a p. red. W. Łebiński z stósownem przemówieniem wręczył jej wieniec od grona dziennikarzy i literatów poznańskich. Oklaskom nie było końca. Wdzięczna artystka kilku słowy z pod serca wyjętemi, podziękowała członkom naszej sceny za gorliwą pracę, i ujęła ich oraz wszystkich szczerością i wyrazami radości z tego, że znajduje się wśród swoich. Na temże przedstawieniu p. Prochaska złożył panu dyrektorowi Rygerowi wieniec od artystów w dowód uznania jego zasług.

W ostatni wieczór scena i audytoryum raz jeszcze dały wyraz fali uczuć wdzięczności i podziwu. P. dyr. Ryger w otoczeniu aktorów żegnał wielkiego gościa, a podniosłym słowom jego zawtórzyła burza przeciągłych oklasków. Na to Helena Modrzejewska zwróciła się z podzięką do artystów i do publiczności, wyrażając nadzieję, że nie po raz ostatni dano jej wystąpić na deskach teatru poznańskiego, i żegnając nas serdecznem „do widzenia!“

„Do widzenia!“ — echem odpowiedziały serca widzów, z którymi królowa polskiej sceny umiała nawiązać tak serdeczne ogniwa.

„Do widzenia!“ — i my powtarzamy, upewniając opuszczającą nas gwiazdę, że wieczory, jakie nam zgotowała, głębokie, niezatarte pozostawiły nad Wartą wrażenie i prosząc, aby uniosła z sobą za ocean wraz ze szarfami o polskich gorących barwach pamięć tych chwil, spędzonych na ziemi wielkopolskiej.

Roman Rola.



KRONIKA.

Gdyby pani Modrzejewska była jeszcze dłużej bawiła w grodzie naszym, pisma nasze byłyby nabrały cech pism warszawskich. Dla czego? Oto dla tego, że nigdy jeszcze tyle nie pisano o teatrze w naszych pismach, jak w czasie występów pani Modrzejewskiej, a wiadomo, że w pismach warszawskich teatr zajmuje poważne miejsce.

Biedna ta prasa warszawska! Krępowana cenzurą, musi pomijać niejednokrotnie najważniejsze kwestye, ale za to wolno jej rozpisywać się obszernie o każdej lichej farsie. Drugim skutkiem występów pani Modrzejewskiej byłoby, że, gdyby występy były dłużej trwały, wszyscy krytycy byliby wyzionęli ducha. Była bowiem praca nielada. W ostatnim tygodniu występów p. Modrzejewskiej grano w teatrze naszym codzień i codzień były owacye dla naszej znakomitej gwiazdy scenicznej, więc krytyk musiał być co wieczór w teatrze, jeżeli nie dla recenzyi sztuki, to przynajmniej dla opisania owacyi. A jednak żaden z krytyków, zmuszonych późnemi nocami pisać owe recenzye, nie skarżył się. Owszem chętnie dążył do teatru, bo występy pani Modrzejewskiej były dla tych, którzy jej jeszcze nie widzieli, nie tylko nowością, ale także szkołą.

Ośm lat temu pani Modrzejewska również bawiła w grodzie naszym i wówczas ogromny budziła zapał, i wówczas ogromne było powodzenie, lecz porównując tamte występy z obecnemi rzec mogę śmiało, że tym razem było powodzenie większe i zapał jeszcze gorętszy.

A przecież p. Modrzejewskiej, lat nie ubyło, lecz przybyło — widać jednak, że nie ubyło jej ani sił, ani sztuki, przeciwnie sztuka jej spotężniała. Teraz już minęły dni świąteczne, gość nasz wyjechał i teatr żyje wspomnieniami pełnych widowni — bo niestety teraz na wielki napływ widzów skarzyć się dyrekcya nie może.

Pan Ryger jednak obmyśli sposób pobudzenia zainteresowania do teatru, po tygodniowym wypoczynku wyprowadzi z pewnością na scenę naszą ciekawą nowość i teatr znów się zapełni. Przekonuję się, że moja „Kronika“ już wygląda tak, jakby była pisaną w Warszawie — mówię w niej bowiem tylko o teatrze i o p. Modrzejewskiej, ale proszę się zapytać, czy w Poznaniu o czem innem mówią, a przecież moje kroniki starają się fotografować oblicze chwili.

Lecz mylę się, oprócz teatru myśl nasza zajęta jest wyborami, których termin naznaczony na początek czerwca.

Wyborczy okręg poznański nie ma najmniejszego kłopotu o przeprowadzenie posła do parlamentu. Nowych przeciwników zarzucimy czapkami — to też nie o rezultacie wyborów myślano, lecz o tem, czy dotychczasowy poseł p. Bernard *Chrzanowski* nadal kandydować będzie.

Więc, gdy pewności nie było, wyłaniały się rozmaite kandydatury — i co podnieść należy, nie było żadnego rozdźwięku przy polecaniu kandydata. Tu i owdzie zgrzytnął jakiś ton mniej przyjemny, przypominający rozterkę dawniejszych lat, lecz na ogół dyskusya o kandydatach nie roznamiętniała się.

Nie można zatem wcale wątpić o zgodzie w prasie.

Lecz prawda! Przypominam sobie, że był zamiar założenia kasy pomocy dla dziennikarzy polskich w zaborze pruskim. Co się stało z tym projektem? Czy całkiem pochłonął go wir karnawałowy, czy też tylko chwilowo spoczął, aby wypłynąć w spokojniejszych chwilach postu.

Bal dziennikarski, czyli dla dziennikarzy się nie odbył, ale słyszałem również, że ma być wydaną jednodniówka na rzecz kasy literackiej. Czy i o tym projekcie zapomniano, czy też tylko odłożono go do postu, aby literaci przy postnej strawie zjadliwsze mogli płodzić aforyzmy i przy mniej obfitem jedzeniu postnem lotniejsze mogli układać rymy?

W każdym razie warto przypomnieć, że takie projekty były, jako dowód dobrych naszych chęci.

Alfa.

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Z teatru.** W sobotę, dnia 7-go bm., znakomita i bardzo wesoła komedya M. Bałuckiego pt. „Krewniacy." — W niedzielę dnia 8-go bm. wieczorem piękny dramat Schillera „Marya Stuart," sztuka, w której świeżo święcila tryumf w roli tytułowej pani Helena Modrzejewska. Tym razem odegra rolę tę pani Orwidowa. Kto nie miał sposobności podziwiać tego arcydzieła literatury dramatycznej podczas występów pani Modrzejewskiej, niech nie omieszka podążyć w niedzielę do teatru i zaopatrzyć się wcześnie w bilety.

— W niedzielę po południu po cenach do połowy zniżonych 1) „Prelegent", komedya w 1 akcie J. Kościelskiego, 2) „Dramat jednej nocy", dramat w 1 akcie Aurelego Urbańskiego, 3) „Kominiarz i młynarz, czyli zawalenie się wieży", operetka ze śpiewami J. N. Kamińskiego.

Bank parcelacyjny w Poznaniu ma na sprzedaż po znacznie zniżonych cenach folwark, trzy gospodarstwa kompletne, dwa gospodarstwa bez inwentarza oraz place pod budowle. Nadarza się korzystna sposobność nabycia ziemi i parcel. Bliższe szczegóły podane są w ogłoszeniu, na które zwracamy baczną uwagę panom gospodarzom.

— **Zwracamy uwagę** na anons p. Aug. Denizota, właściciela szkółek w Poznaniu przy ulicy Kolejowej 45, polecającego swe znane ogólnie w wyborowym gatunku drzewa i krzewy owocowe i ozdobne. W cenniku, jaki ta firma na żądanie wyseła darmo i opłatnie, znaleźć można wszystko, co tylko w dział szkółek wchodzi, a przytem ceny jaknajprzystępniejsze i wysyłka jak najakuratniejsza. Polecamy szkółki p. A. Denizota uwadze Szanownych Czytelników naszych.

— **Pan M. Machiński** przejął z dniem 1 lutego r. b. na własność skład cygar i papierosów p. A. Siuchnińskiego przy Starym Rynku nr. 45. Skład p. Machińskiego polecamy względom i poparciu Szanownych Czytelników.

— **Zupełną wyprzedaż** szkła, porcelany, lamp itd. z powodu zwinięcia interesu urządził p. Stanisław Dekiert w firmie: S. Dekiert et Co. w składzie swym przy ul. Wilhelmowskiej nr. 13 (hotel francuzki). Na ogłoszenie p. Dekierta zwracamy baczną uwagę Szanownych Czytelników.

— **Na post** poleca p. A. Matuszak przy ul. Gołębiej nr. 2 (obok kościoła farnego) hurtownie i detalicznie codziennie świeże śledzie, bydlinki, węgorze wędzone i marynowane itd. oraz wszelkie delikatesy postne (Patrz ogłoszenie.)

— **Pan Witold Droszcz** otworzył w mieście naszem przy ulicy Szkólnej nr. 15 w dawniejszym lokalu firmy „Italia" skład towarów kolonialnych, delikatesów, win i cygar (specyalność makarony). Nowemu przedsiębiorstwu: „Szczęść Boże!"

— **Obuwie** własnego przeważnie wyrobu poleca *Spółka szewska* w pałacu hr. Działyńskich przy Starym Rynku nr. 78.

— **Nowy kurs** rozpoczyna się w zakładzie pracy domowej dla dziewcząt w Śremie, będącym pod umiejętnym kierunkiem pani F. Szczerbińskiej. Na ogłoszenie tego pożytecznego zakładu zwracamy baczną uwagę rodziców i opiekunów.

— **Towarzystwo** *„Schronienie dla nauczycielek"* w Poznaniu nadesłało nam sprawozdanie z pięciolecia działalności i rozwoju. Ze sprawozdania dowiadujemy się niestety, że instytucya ta humanitarno-dobroczynna nie znajduje należytego poparcia.

„Przykro nam — czytamy bowiem w sprawozdaniu — że musimy się zwrócić z gorzką wymówką do tych osób, którym istnienie „Schronienia" najwięcej powinno leżeć na sercu, to jest do pań nauczycielek. Czemuż panie nauczycielki w tak małej liczbie zapisują się na członków, czemu zupełnie nie agitują na rzecz „Schronienia" i obojętnie, a nawet z pewnem lekceważeniem traktują tak ważną dla nich instytucyą? Te, które znajdują się w tem szczęśliwem położeniu, że nie potrzebują szukać przytułku w naszem „Schronieniu", niechaj w imię miłości bliźniego złożą składkę na korzyść swych mniej szczęśliwych, biedniejszych koleżanek, a będą miały wielką zasługę w obec Boga.

„Składka roczna wynosi tylko 6 marek, każda zatem z pań nauczycielek może ją bez uszczerbku w dowolnych ratach płacić. Pieniądze prosimy przesyłać na ręce kasyerki p. Zofii Starkowej, ul. Wilhelmowska 21. Do Towarzystwa naszego należy nauczycielek tylko 18 — fakt to nader smutny, że przychodzi nam walczyć z taką zastraszającą obojętnością."

Usiłowania Towarzystwa, posiadającego także Bióro informacyjne, mające za cel wyszukiwanie nauczycielek i umieszczanie tychże, powinna publiczność popierać jak najbardziej, gdyż dążności Towarzystwa są podjęte w jak najlepszych zamiarach. Bióro Towarzystwa pod zarządem panny Anny Przybyłowskiej znajduje się przy ul. Wodnej nr. 15.

— **Dom przemysłowy,** *Spółka budowlana w Poznaniu.* Z nadesłanego nam XIII sprawozdania za rok 1902 przekonujemy się, że instytucya ta pomyślnie się rozwija.

„Powstał wreszcie — czytamy w sprawozdaniu — Dom Przemysłowy w Poznaniu. W parterowych ubikacyach Domu Przemysłowego pomieściliśmy kawiarnię oraz handle i biura bankowe. Do piętr górnych ułatwiliśmy dostęp przez urządzenie elektrycznej windy. W obszernym ogrodzie urządziliśmy wygodną kolonadę i estradę dla orkiestry. W dawniejszym bocznym budynku zbudowaliśmy salkę, przeznaczoną na mniejsze zebrania.

„Już dzisiaj mamy na dalszą przyszłość, pomimo niewynajęcia jednego handlowego lokalu w cenie 2,500 Mk. rocznej dzierżawy, zapewniony roczny dochód w sumie 45,715 Mk., z którego po strąceniu 42,715

Mk. na procenta, podatki i utrzymanie zostaje nam 3,000 Mk. względnie z wynajęciem ostatniego lokalu w cenie 2,500 Mk., wogóle 5,500 Mk. do podziału pomiędzy członków.

„Jak z bilansu widoczną moglibyśmy dzisiaj przeznaczyć 3225,33 Mk. na dywidendę za rok 1902, jednakże jako przezorni gospodarze uważamy za stósowne, zaproponować przelanie powyższej kwoty do funduszu rezerwowego..

„Aby zebrać dalsze fundusze na wybudowanie wielkiej sali w ogrodzie, starać się musimy o zyskiwanie nowych członków względnie o zwiększenie udziałów.

„Mamy też niepłonną nadzieję, że Społeczeństwo, widząc rezultaty dodatnie naszych usiłowań, myśli naszej przyklaśnie i rączo zabierze się do dzieła, składając nowe udziały w kwartalnych ratach już nie jako ofiarę, nie jako darowiznę, lecz jako lokacyę kapitału, który kiedyś znaczne odrzucać może odsetki."

Spółka liczy 462 członków i to 272 miejscowych i 189 zamiejscowych. Członkowie odpowiadają za zobowiązania Spółki ilością 570 sum gwarancyjnych czyli ogólną sumą 171,000 Mk.

— **Wągrówiec** Baczność przy kupnie interesu! W maju w roku zeszłym kupił p. Roman Mazurkiewicz od żyda M. Landecka handel żelaza, połączony z handlem nasion wraz z kamienicą. Przy kupnie p. M. nie zastrzegł sobie piśmiennie, że owej firmie żydowskiej nie wolno w tej branży dalej pracować. I cóż się dzieje! Od kilku dni ów żyd poprzybijał plakaty na swym domu, który się znajduje naprzeciw p. M. i założył znów podobny interes. Cenniki tyczące nasion już do naszych rodaków porozsyłał, lecz pewny jestem, że przecież mając teraz polski handel, nasi gospodarze nie pójdą do żyda, tem więcej, jak się dowiedziałem od p. M., że ten obejmując interes nie przejął żadnych nasion od firmy żydowskiej, zatem li tylko świeżym i doborowym towarem zaspokoić może potrzeby każdego,

Zmarli.

† Ś. p. *Kazimierz Arendt* dnia 21-go z. m. Pogrzeb odbył się w Rogoźnie dnia 26-go z. m.

† Ś. p. *Zygmunt Bronisz-Wieniawa* dnia 23-go z. m. w Otoczni.

† Ś. p. *Florentyna z Sąchockich Piotrowska* dnia 22-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lal 69.

† Ś. p. *Edward Bniński* dnia 24-go z. m. po 12 latach cierpień. Zwłoki złożono dnia 28-go z. m. w grobach familijnych w Gułtowach.

† Ś. p. *Emilia z Seredyńskich Bętkowska* dnia 25-go z. m. Pogrzeb odbył się dnia 1-go b. m Gościeszynie.

† Ś. p. *Joanna z Neumanów radczyni Au* dnia 27-go z. m. w 80-ym roku życia. Pogrzeb odbył się w Wrocławiu dnia 2-go b. m.

† Ś. p. *Łucya z Bolewskich drowa Bojanowska* dnia 1-go marca r. b. Pogrzeb odbył się dnia 4-go b. m. w Kościanie.

Od Redakcyi.

Panu Romanowi G. w Trzemesznie. — Adresu przełożonej Zakładu gospodarczego dla pań w Zakopanem nie znamy, W Śremie jest przełożoną takiego zakładu pani F. Szczerbińska.

Panu Antoniemu M. w Wiedniu. — Za nadesłane wycinki dziękujemy.

Panu E. M. w S. — Wierszyk nie zły, ale szwankuje pod względem formy. Jedną — bierną — to nie rymy! cenny — promienny — to znów rymy pospolite.

Pani B. S. w K. — Niepodobna nie dostrzedz śladów talentu, ale na druk jeszcze zawcześnie.

Promień. — Nic szczególnego.

— *Pani Stefanii M. w Książu* — Recepty tej bez bliższej informacyi, mianowicie podania wieku, koloru włosów itd. nadesłać nie można.

Panu M. w Berlinie. — „Przewodnik Katolicki" w Księgarni św. Marcina w Poznaniu.

Panu S. B. w Hamburgu. — Jeżeli Pan innych wyrazów nie użyłeś, jak tylko w liście wymienionych, natenczas wyrazy te nie zawierają w sobie żadnej obrazy i nie może Pana nikt o obrazę do odpowiedzialności pociągać.

Panu K. K. w Pozn. — Sprawy, o której Pan pisze, nie znamy i dla tego listu nie rozumiemy.

Pani H. R. w Magd. — Listownie.

Pani P. W. w Kud. Przy najszczerszej chęci nie możemy poruszyć tej całkiem osobistej materyi. Radzimy inserować w gazetach przed nadejściem sezonu.

HUMORYSTYKA.

Tak we dwoje.

Gdy przedenną kielich wina,
To mnie wtedy nie poznacie,
Taki ferwor, bycza mina
Jak daleko szukać bracie.
W głowie jakoś dziwnie jasno,
Myśli ciśnie się tysiące,
Lubych marzeń złotych pasmo
Miga w oczach niby słońce.
A po drugim już kielichu,
Myśl ma bieży w młode lata,
Dumkę nucę już po cichu
I westchnienie w niebo wzlata.
Gdy ich więcej spełnię wreszcie
Wtedy dobrze mi nareszcie,
Sercu błogo i wesoło,
Szczęście widzę na około.
I nie pragnę już młodości
Rzeczywistą chwilą poję —
I do późnej mej starości
Chciałbym zostać tak we dwoje! —

H. Rose.

Kobieca Logika.

Niedoświadczyński do Doświadczyńskiego:

— Dziwną jest, zaiste, droga, którą uczucia przechodzą w uczucia.

— No?

— Czy pan nie zauważył, że przyjaźń często przechodzi w miłość?

Doświadczyński, który przed paru laty ożenił się z gorącej miłości, z westchnieniem:

— O tak, zauważyłem; ale za to nie zauważyłem nigdy, aby miłość przeszła kiedykolwiek w przyjaźń...

Żona:

— Obecnie gdyś mi darował te cudne brylanty, to i pozwolisz mi wydać raut, nieprawdaż mężusiu?

Zagalopowała się.

Matka:

— Synu, pamiętaj sobie wziąć sobie rozumną żonę, twemu ojcu niestety szło tylko o pieniądze.

Myśli postne.

Gdyby bogactwo nie rodziło zazdrości, byłoby o 50 procent mniej ponętne, niż jest w istocie.

„Skłamałam w życiu wszystkiego trzy razy!" — zwierza się w rozmowie poufnej piękna jakaś pani. „Ach, — szepce, dosłyszawszy to pewien stary złośliwiec — to razem będzie cztery!...

Głupiec w obcowaniu z głupcem zawsze są z siebie zadowoleni.

Plato rzekł kiedyś mądre słowa: „Nie istota kochana pełną jest bóstwa, ale ta, która kocha."

Apatya i lenistwo, to istne zamarzanie duszy i ciała.

Podwładni są najczęściej tylko bibułą do kleksów, które podoba się robić przełożonym.

Dlaczego łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a wielcy tego świata rzadko kiedy uprawiają cnotę wdzięczności? Dlatego, że niezapominajki nie rosną na wysokich drzewach.

Byłoby źle gdyby serce ludzkie stało na równi z językiem. Na szczęście serce człowieka jest daleko lepsze od tego języka.

Ludzie stracili raj wskutek zjedzenia owocu zakazanego; widocznie dlatego ludzie teraz znajdują raj w zjadaniu owoców zakazanych.

Myśli postne są jak śledzie postne: dobre, o ile im nie brak oliwy, soli i... pieprzu.

Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

6)

(Ciąg dalszy.)

W naturze mojej leżała pewna obojętność, która kazała mi przyjmować fakta spełnione, jako konieczność, jako turecki „kiszmet,'' z marmurową obojętnością. Była to pewna bierność, która jednak często służyła mi w ówczesnej epoce, jako zasada — pocieszycielka. Życie nie wydawało mi się warte jednego sous. Byłem w epoce sceptycyzmu życiowego; zadługo żyłem tylko wewnętrznie, dlatego wyczerpałem się do dna. Dlatego także szukałem wtedy takich wrażeń, od których biła woń prochu, jaskrawych, niebezpiecznych, bo odrywały mnie one od spoglądania w próżnię i od obwijania wątka nici naokoło nicości. Rozmyślałem więc tylko o Mirzie, o tem bogactwie wiary w życie i samego siebie, o życiu, jakie kipiało w nim i wylewało się nazewnątrz. Bił się, kochał, mścił i do głębi duszy był przekonany, że to wszystko warte zachodu. Na duszę jego nie padał ani cień zwątpienia. Nie było w nim jednej kropli krwi Hamleta. Takich ludzi zwą ludźmi czynu. Biło od niego jakieś ciepło życiowe, przy którem i ja odgrzewałem zdrętwiałą duszę.

Oto i w tej chwili żegnał się tam ze śliczną panną i w pocałunkach zapominał o świecie całym. Ja na jego miejscu czułbym, niestety, że całuję usta, które, prędzej lub później, muszą być umarłemi.

Dniało coraz bardziej. Noc pierzchła. W La Mare poczęły piać koguty, a jeden podawał głos drugiemu. Podszedłem do otwartego okna, aby spojrzeć na widnokrąg i nagle ujrzałem mdły krążek światła latarki, zbliżający się z cieniów, do uszu moich zaś doszło pośpieszne klekotanie drewnianych trzewików, jakich we Francyi używają wieśniacy.

Po chwili mały chłopak z kudłatą czupryną, bez czapki, dobiegł aż do naszej kwatery, podniósł latarkę i, ujrzawszy mnie stojącego w oknie, zawołał zdyszanym głosem:

— Nie śpicie?

— Co tam?

— Prusacy wchodzą do wioski.

— Zgaś latarkę i zmykaj — rzekłem cicho.

Rozbudziłem Marxa, potem wyszedłem przed sień i zagwizdałem znowu:

Dzieci zbierajcie się etc.

Mirza pojawił się natychmiast.

— Hop! hop! — zawołał.

— Niemcy w La Mare!

Weszliśmy prosto w chmielnik, który ciągnął się aż do lasu. Nie potrzebowaliśmy zresztą odchodzić zbyt daleko, niemcy bowiem nie mogli nic o nas wiedzieć, usiedliśmy więc spokojnie wśród liści i poczęliśmy się wsłuchiwać w odgłosy z La Mare. Bitwa już ustała; łuna zgasła. Z początku w La Mare cicho było i spokojnie, ale potem do uszu naszych doszła daleka, potem coraz bliższa wrzawa. Wkrótce mogliśmy odróżnić tentent i rżenie koni, dźwięki mosiężnych trąb, warczenie bębnów. Zagrzmiały wreszcie i pieśni bojowe. Jazda zaśpiewała „Wacht am Rhein!'' a głosy niosły się daleko wśród ciszy po rosie. Biło od nich jakąś niewypowiedzianą siłą i dzielnością; czułeś, że to są odgłosy tryumfu, że pułki Cymbrów znojne, pokryte jeszcze kurzem bojowym i krwią, upojone radością, święcą tą pieśnią nowe zwycięstwo.

A tymczasem pierwsze różowe promienie jutrzenki musiały padać, jak aureola, na ich wysokie sztandary. Słuchaliśmy w milczeniu. Flegmatyczny Marx pobladł ze złości i szeptał przez zaciśnięte zęby swoim łamanym językiem: *„c'est pien! nous ferrons!''* Mirza oddał się także całkowicie chwili. Zapomniał wówczas zapewne ten szczęśliwiec o wszystkiem i żył za dwóch jednem wrażeniem, w każdym razie więcej wartem, niż hamletowa refleksya.

Był to jednak widocznie tylko przemarsz wojsk, bo stopniowo wrzawa, tentent i pieśń oddalały się coraz bardziej, cichły, cichły, mieszały się ze szmerem liści chmielowych, przechodziły jak gomon, a potem już tylko silniejszy powiew wiatru zawiewał jeszcze pieśnią.

Wreszcie ucichło wszystko.

— Przeszli — szepnął Selim.

— Przeszli.

— Trzeba i mnie iść. Wy wracajcie do La Mare.

Żegnaliśmy się długo i serdecznie. Następnie Mirza otarł łzę, zarzucił na ramię karabin, przekręcił na bok kepi i odszedł zwolna, nucąc:

Tyś szyła chorągiewki!

Potem odwrócił się jeszcze i zasyłał nam znaki pożegnania. W milczeniu wróciliśmy z Marxem do La Mare.

IV.

We trzy dni później, wieczorem, zbliżaliśmy się do obozu. Serce biło mi jak młotem, nie wiedziałem bowiem, czy jeszcze zastanę Mirzę przy życiu. Przez drogę nauczyłem Marxa, jak ma się zachować, i powiedziałem mu, co było można. Dzielny ten chłopak, który przywiązał się do Selima, jak brat, pierwszy oświadczył, że jeśli Selim już nie żyje, to on strzeli w łeb La Rochenoirowi, jak psu.

Do obozu prowadził nas chłop, który był szpiegiem La Rochenoira, a jednocześnie udawał, że jest szpiegiem pruskim, za co od prusaków brał pieniądze. Zwał się Hugon.

Dla pozbycia się dręczącej mnie niespokojności zacząłem z nim rozmawiać.

— Musicie mieć piękne zyski? — spytałem.

Hugon zwrócił do mnie swoją zwierzęcą twarz i uśmiechnął się, co czyniło go podobnym do psa, wyszczerzającego zęby.

— Zapłata licha — rzekł — ale Pan Bóg ześle czasem coś więcej. Spojrzysz — leży trupek, poszukasz — talary przy nim są, zegarek jest, pierścioneczek na palcu jest. Inaczej z głodu przyszłoby umierać.

— A! więc obdzieracie trupy?

— To i cóż? zmówię za każdego raz „wieczny odpoczynek,'' a jak warto, to i dwa. Inni i tego nie robią. Pan Bóg miłosierny. Ja francuzom służę darmo. Corbeau, niech się ziemia pod nim rozstąpi, kazał mnie powiesić, co prawda, służyłem wtedy tylko prusakom, ale La Rochenoire kazał mnie odciąć. Odtąd powiada, będziesz brał od niemców pieniądze, ale, powiada, będziesz mnie służył. Toż i służę mu wiernie, jak pies. Ja tu znam każdy krzak. Prowadzę niemców tam, gdzie on mi każe, a że tam czasem koło nieboszczyków się pokręcę, on się za to nie gniewa. On mówi mi zawsze „bydlę!'', ale jemu wolno, jako panu.

Poszliśmy dalej w milczeniu. Po niejakim czasie Hugon rzekł:

Zaraz i obóz!

Obóz leżał w gęstwinie leśnej, wśród powywracanych przez burzę drzew. Przewodnik nasz okrzyknął się głosem sowy z placówką, która nas zatrzymała aż do czasu przybycia patrolu. Patrol wprowadził nas do środka.

Gdy weszliśmy do obozu, był zachód słońca. Pod powywracanemi korzeniami drzew i pod krzakami nie było ani jednego namiotu, ale wszędzie leżały kupy słomy, którą nawozili wieśniacy. Na uboczu stało kilkanaście wozów, zaprzężonych w zbiedzone szkapy. Między wozami siedzieli chłopi podwodnicy, posilając się na noc serem i kawałkami chleba. Żołnierze po największej części leżeli na słomie, niektórzy pozagrzebywali się w nią tak, że im było widać tylko głowy. Wyglądali wszyscy jak najgorzej: twarze wychudzone i brudne, zaszłe krwią oczy, podarte mundury, wszystko to czyniło ich podobniejszymi do rozbójników niż do żołnierzy. Zresztą doznaliśmy niezbyt uprzejmego przyjęcia. Gdy patrol prowadził nas przez majdan, tu i owdzie z jam i z pod korzeni wychylały się zbójeckie głowy, a ochrypłe głosy pytały:

— Hej! a kogo to tam prowadzą?

— To franty z bulwarów.

— Sam tu, młody skowronku! — wołał na Marxa jakiś drab — ojczyzna potrzebuje cię pieczonego.

— Głupiś — odparł inny, spoglądając na gołowąsą twarz mego towarzysza, to nie skowronek, to przebrana dziewczyna. Czy nie widzisz, jak palce podnosi, idąc?

— Ażeby dyabeł powykręcał twoje palce. Pomór na ciebie! Jeśli to dziewczyna, to tem lepiej. Bodajeś połknął kulę.

— To tak, miła gąsko? Kazał ci się lis kłaniać.

Marx pokazał im pięść, ja zaś szukałem oczyma naokoło Mirzy, ale nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że trzeba nam będzie wziąć się do La Rochenoira. Tymczasem wprowadzono nas między wielkie drzewa, z pod których dochodziły uszu naszych jakieś bolesne wrzaski. Gdym, zbliżywszy się, spojrzał tam, odrazu ciężki kamień spadł mi z piersi; pierwszą bowiem osobą, na którą wpadł mój wzrok, był Mirza. Ubrany w oficerski mundur adjutanta, rozmawiał poufale z jakimś małym człowieczkiem o kręconych blond włosach, księżej minie i wyżółkłej twarzy, w którym domyślałem się La Rochenoira. Nieco opodal stał mąż atletycznej postawy, z twarzą pooraną przez ospę, dziwnie szpetną. Ten, na głowie, zamiast wojskowego kepi, miał brudną białą chustkę, poplamioną krwią. Był to, jak się później dowiedziałem, porucznik Simon, prawa ręka we wszystkiem La Rochenoira.

Patrol zatrzymał się nieco opodal w milczeniu. Mirza spojrzał na nas przelotnym, obojętnym wzrokiem, poczem odwrócił się, jakby nas nie znał nigdy i począł palcem otrząsać popiół z cygara. La Rochenoire i Simon także nie zwrócili na nas zrazu uwagi, zajęci bowiem byli: jeden rozmową z Mirzą, drugi przypatrywaniem się chłoście wieśniaków, oskarżonych, jak powiedział nam oficer patrolowy, o to, że zbici przez prusaków, wskazali im przed tygodniem leże obozu. Biedacy ci drżeli na całem ciele, Simon zaś kazał im przypatrywać się nawzajem. Dwóch z tych nieszczęśliwych siadało na trzecim i chłostało go do krwi, potem wybity podnosił się, wypijał łyk wina i zabierał się zaraz do następnego, mówiąc:

— Wasza kolej, kumie!

Simon pilnował operacyi, machając w takt ręką i powtarzając:

— Mocniej!

La Rochenoire z Mirzą od czasu do czasu szeptali coś z sobą z cicha. Zdawali się być w jaknajlepszych stosunkach.

Nakoniec operacya się skończyła. Oficer patrolowy zameldował o naszem przybyciu La Rochenoirowi. Wówczas wzrok jego padł chwilowo na nas. Jak żyję, nie widziałem takich oczu. Siwa ich barwa prawie nie odbijała światła. Były to oczy jakby zgasłe.

— Simon, wziąć tych ludzi! — wymówił suchym, prawdziwie oficerskim głosem.

Simon wydobył obrzydliwą zatłuszczoną książkę, zapisał nasze nazwiska, potem oddał nas młodemu oficerowi, imieniem Touoenir, rzekłszy:

— Sekcya czwarta, na miejsce Blaina i Renarda.

Touoenir wskazał nam kupę słomy, mówiąc:

— Spocznijcie.

Tak odbyła się nasza instalacya do obozu.

W kilka dni później obudziłem się w nocy trochę chory. Słoma, na której leżałem, była wilgotna; zaraz po zachodzie słońca niebo pokryło się chmurami i począł mżyć deszcz, a raczej gęsta, przejmująca mgła, która, osiadając na liściach drzew, spadała w postaci kropel na nasze posłanie. Szelest tych kropel dziwnie rozstrajał moje nerwy. Byłem zniechęcony i przybity. Zdawało mi się, że wszystko idzie jaknajgorzej. Od czasu przybycia do obozu widywałem Mirzę codziennie, ale nie zamieniłem z nim ani słowa. Nie umiałem sobie wytłumaczyć jego stosunku do La Rochenoira. Skąd taka przyjaźń? Selim był jego adjutantem, skądże ta nagła, a niespodziewana nominacya? Podejrzewałem w tem wszystkiem jakiś podstęp; podejrzywałem, że chytrzejszy francuz igra z Mirzą, jak kot z myszą. Dręczyło mnie to. A tymczasem krople deszczu spadały i spadały, zsuwając się z liścia na liść coraz częściej. Ogarnęła mnie gorączka i jakieś niewypowiedziane rozbujanie wyobraźni. Na myśl, że zostaniemy tu, w tym obozie, wśród ciągłych zdrad i podstępów, porywała mnie rozpacz. Z jakiemże utęsknieniem myślałem wówczas o armii regularnej, o tych pułkach konnych, idących w biały dzień, jak wicher do ataku. A my? my musieliśmy błądzić, jak wilki, w ciemnościach, czaić się w chaszczach, kąsać z nienacka.

Obrzydło mi to życie, zanim się go dotknąłem.

Nie mogłem usnąć, ale po niejakim czasie czułem się jakby odurzony. Przez parę godzin wsłuchiwałem się bezmyślnie w szelest kropel i w głos jakiegoś ptaka czy dyabła który na poblizkiem drzewie odzywał się monotonnie: „to-to! to-to!“ Co tam za ptak mógł tak gwarzyć wśród nocy i deszczu! Chwilami przychodziło mi na myśl, że to może jaka istota nadnaturalna, która wróży mi śmierć.

Potem zacząłem doznawać halucynacyi. Mroczne przestrzenie leśne zbiegały się ze wszystkich stron i tworzyły cztery ściany pokoju. Był to niby pokój w rodzinnym moim domu. Na stole paliła się lampa, koło stołu siedział ojciec, matka i młodsze rodzeństwo. To znów te osoby nikněły, a na ich miejscu widziałem dwie nieznane mi panny, przeglądające jakąś starą kronikę z rycinami. Zachodziłem im z pleców i przypatrywałem się rycinie. Przedstawiała w średniowiecznych, niezgrabnych sztrychach bitwę pod Azincourt. Pod spodem czytałem wyraźnie gotycki napis: „Bitwa pod Azincourt“. Nagle wzdrygnąłem się bez powodu, widzenie znikło i znowu koło mnie był las, mroczne, czarne głębie, do uszu zaś dochodził szelest kropel i sapiące oddechy towarzyszów.

Wówczas powtarzałem sobie, by się bronić halucynacyom: jesteś w lesie, służysz w wojsku, dowódcą jest La Rochenoire, Mirza adjutantem, koło ciebie śpi Marx.

Potem uczułem, że się boję, sam nie wiem czego. Bałem się tak, że chciało mi się krzyczeć o ratunek.

Nagle przeraźliwy odgłos świstawki rozbudził wszystkich. Odetchnąłem głęboko. Była to przynajmniej rzeczywistość. Żołnierze zerwali się na równe nogi i w kwadrans potem staliśmy pod bronią w szeregach. Porucznicy z obnażonemi szpadami przy swoich kompaniach zcicha, ochrypłemi głosami, podawali sobie rozkazy. Wkrótce ukazał się La Rochenoire, a za jego zbliżeniem, ów szmer, który we wszystkich, a zwłaszcza francuskich szeregach, brzmi nawet na musztrach — cichł wszędzie, jakby żołnierze ujrzeli zbliżającą się śmierć samą. La Rochenoire szedł w towarzystwie Mirzy. Obaj przesuwali się zwolna, przeglądając szeregi. Żołnierze wyciągali się jak struny, prezentując broń przed nimi. Tu i owdzie La Rochenoire rzucił jakie słówko, które podchwytywali w lot porucznicy. Po chwili rozległa się głośna komenda, szeregi złamały się na dwoje... Połowa oddziału pod wodzą La Rochenoira i Mirzy poszła w prawo; druga połowa, a w niej ja i Marx, udała się pod rozkazami Simona wprost przed siębie. Była jeszcze noc zupełna. Czarne masy drzew, wywrócone pnie z korzeniami, sterczącemi do góry, rysowały się w fantastyczne, godne apokalipsy, kształty. Las był poprostu straszny. Szliśmy w zupełnem milczeniu i jak najciszej. Dla człowieka myślącego służba wojenna ma jeszcze tę obrzydliwą stronę, że nigdy nie wiesz, co się z tobą robi. Jakaś ręka posuwa tobą, jak pionkiem, i oto wszystko. Tak było i ze mną. Wiedziałem, że La Rochenoire, wziąwszy udział w tej bitwie, której odgłosy słyszałem w La Mare, był pobity; sądziłem więc, że idziemy powetować klęskę, ale, dokąd idziemy i z jakiemi siłami przyjdzie nam się mierzyć, nie miałem najmniejszego pojęcia. Las się wkrótce skończył. Na horyzoncie nocnym zarysowało się wzgórze, na niem wiatrak, a dalej do trzydziestu chat, ku którym poczęliśmy się skradać. W oknie wiatraka świeciło się, pod wiatrakiem zaś rysowała się czarna nieruchoma postać pruskiego szyldwacha, w śpiczastym hełmie, opartego o karabin. Mimo, że byliśmy ukryci w zaroślach i szliśmy jaknajciszej, szyldwach posłyszał szmer. Głośne *„Wer-da?“* rozległo się w ciszy, a natychmiast huknął strzał, rozdarłszy czerwonem światłem powietrze. Wówczas wydaliśmy okrzyk i rzuciliśmy się w największym pędzie na chałupy, z których wraz poczęły się sypać strzały. Zawrzała bitwa. Ja, Marx i kilkunastu innych żołnierzy, pod osobistą wodzą Simona, dotarliśmy do drzwi jednej chaty i poczęliśmy odbijać je kolbami, a tymczasem z dachu i okien strzelano do nas o parę kroków. Drzwi jednak chwiały się, a wreszcie pękły, i wpadliśmy do wnętrza. Niemcy dali nam ognia w same oczy, ale nie uczynili szkody.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

53) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Otóż są! Gdzie księżna Chimay?

— W zakładzie obłąkanych doktora Blakborna, niedaleko — Passy!

— Ah! Kto to jest doktor Blakborn?

— Jest to pewien Anglik, który przybył tu przed laty i założył dom dla obłąkanych na sposób angielski. Przyjmuje on zdrowych i trzyma ich tak długo, dopóki nie stracą rozumu. Księżna znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie, bo doktor Blakborn, to szatan prawdziwy!

— Uwolnimy ją wkrótce. Oddam tę sprawę prokuratorowi, i biada doktorowi, jeżeli się okaże, że księżna jest zupełnie zdrową umysłowo!

— Prokurator nic mu nie zrobi, — rozśmiał się Castelin, — to tak, jak gdybyś pan śrutem na słonia strzelał! Czy myślisz, że prokurator znalazłby u niego księżnę? Jego dom jest tak urządzony, że ci, których tam nikt znaleźć nie ma, znikają bez śladu. Jedno dotknięcie ukrytego drutu elektrycznego daje znać o wszystkiem służbie! Nie, nie, jeżeli nie zdołacie uwolnić księżnej podstępem, to wogóle nie ma dla niej ratunku! Przemocą nie osiągniesz pan niczego!

— Podstępem więc? Poradźcie nam, Castelin! Wy się znacie na tem!

— Daj mi pan dwieście franków! Znam sposób, w jaki jedynie możesz pan wyswobodzić księżnę z tego piekła! Nie ma czasu do stracenia!

Tym razem nie namyślał się Tritoni. Wyjął z kieszeni dwa banknoty i podał je chciwemu starcowi.

— Gdyby ta pani była odważną, — rzekł teraz Castelin, patrząc na Józefinę, — to sprawa byłaby łatwą! Chciałbym sam chętnie spłatać figla temu skąpcowi — on mnie raz oszukał o siedemnaście franków!

— Ale jak może młoda kobieta sama oswobodzić księżnę? — zawołał Tritoni.

— Może to tylko uczynić ktoś, mający odwagę wejścia do jaskini doktora. Znasz pani Blakborna?

— Nie! — odrzekła Józefina.

— W takim razie uda nam się oszukać go! Ubierz się pani ładnie, idź do Blakborna i powiedz mu, że opuściłaś potajemnie męża i że chcesz się przez pewien czas ukryć tak, aby on ciebie nie znalazł. Blakborn zrozumie to, przyjmie cię chętnie do swego zakładu, i będziesz miała prawo chodzenia wszędzie. Jest to kosztowna rzecz — Anglik każe sobie grubo zapłacić, ale nie można zważać na pieniądze, gdy chodzi o życie człowieka, nieprawdaż?

— Tak, i jestem gotów poświęcić dużo na to, ale pytanie, czy moja towarzyszka zgodzi się na taką próbę. Bo niebezpieczeństwo będzie wielkie!

— Zapewne! Gdyby się Blakborn domyślił czego, gdyby poznał, że pani chcesz księżnę wyswobodzić, to gotów popełnić morderstwo!

— Pomimo to idę tam natychmiast! — zawołała Józefina, uścisnęła ręce Tritoniego i rzekła: uwolnię księżnę! Ale ak uciekać z nią? Myślę, że drzwi i okna są tam pilnie strzeżone!

— Już i o tem pomyślałem, — odrzekł Castelin i opowiedział jej dokładnie cały plan ucieczki.

— Jeżeli wszystko się powiedzie, — szepnął Tritoni, — to wynagrodzę was hojniej, niż myślicie! A teraz musimy wracać do Paryża!

Castelin wstał i otworzył drzwi domu.

— Bądź pan ostrożnym — rzekł. — Jaskinie w Passy są niebezpieczne!

— Mamy rewolwery! Te wam nic nie pomogą! Ale gdyby się kto za nadto do was zbliżył, to szepnijcie jedno tylko słowo „Niagara,“ to wam więcej pomoże, niż rewolwery i sztylety!

— Niagara? — odezwała się Józefina zdumiona. — To pewnie parol złodziei i opryszków!



Józefina uścisnęła ręce Tritoniego i rzekła: uwolnię księżnę!

— Tak, tak, codziennie inne słowo!

Po tych słowach cofnął się Castelin do sieni, Tritoni zaś i Józefina zeszli ze schodów na ulicę.

Ale w tejże samej chwili stanął przed nimi nowy jakiś gość, zdążający także do Castelina.

Był to niemłody już, ale zawsze jeszcze piękny mężczyzna, w obszernym płaszczu i wysokim kapeluszu. Na widok jego zadrżał Tritoni, i z ust jego dobył się cichy jęk.

— Lord William Corrigan! — szepnął.

— Ha, kto tu wymawia moje nazwisko, — krzyknął lord rozgniewany, wpatrując się w twarz kataryniarza.

— Zdaje mi się, — dodał, — że wy nie jesteście tem, za co chcecie uchodzić, zkądby prosty kataryniarz paryzki miał mnie znać! W każdym razie nie ruszycie się prędzej z miejsca, zanim nie powiecie waszego nazwiska! Rozumiecie?

— Kto ja jestem, — odrzekł Tritoni drżącym głosem, — to wam później powiem, milordzie! My obydwaj mamy jeszcze rachunek do załatwienia! W każdym razie przekonasz się pan, jak dziwnie Bóg kieruje losami ludzi!

— Pójdź Józefino, nie dotykaj tego człowieka!

Mówiąc to ujął jej rękę i oddalił się z nią szybko.

— Kto to był? — zapytała Józefina po chwili.

— Nie pytaj pani — później dowiesz się wszystkiego!

Józefina milczała.

Na połowie wrzosowiska zbliżyły się nagle do nich dwie podejrzane postacie, murzyn i młody chłopak, któremu chęć zaczepki formalnie z oczu patrzała. Zamiary ich bardzo były jasne — w rękach błyszczące noże świadczyły aż nadto wymownie o ich rzemiośle.

— Stójcie! — krzyknął murzyn. — Ręce do góry!

Józefina drżała z przerażenia, Tritoni jednak zupełnie był spokojny.

— Niagara, — szepnął cicho.

— Aha, to co innego! Ale powiedz nam, przyjacielu, — rzekł murzyn uprzejmie, — nie widzieliście jakiegoś pana, wchodzącego do domu starego Castelina?

— Nie!

Murzyn i towarzysz jego oddalili się.

— Czemu nie uderzyłeś go Mungo? zawołał chłopak.
— Katryniarze miewają zawsze dużo pieniędzy przy sobie, a ten wyglądał mi właściwie na coś lepszego.

— Może! Niejeden bogaty Paryżanin odwiedza potajemnie Castelina, ale oni znali parol, dla tego nie można im było nic zrobić. Spieszmy teraz do domu czerwonej lady, nasz pan, Pedro de Branco czeka już na nas!

Gdy obydwa opryszki przechodzili koło domu Castelina, otworzyło się okno i stary złoczyńca wychylił głowę.

— Hej Luigi! — zawołał, — pójdź do mnie na chwilę! Musisz zarobić trochę pieniędzy!

— Nie mów nic memu panu, gdzie jestem, — szepnął Luigi, — połowę zarobku dam tobie!

I jak strzała wbiegł na schody domu Castelina. —

Gdy lord Corrigan przybył do Proroka złodzieji, wprowadzono go do tego samego pokoju, w którym poprzednio był Tritoni i Józefina.

Więc pan jesteś lord Corrigan, — rzekł Castelin. — Słyszałem, że tak nazwał pana ów stary katryniarz. Czego pan chcesz odemnie?

— Mówiono mi, że można wam ufać...

— O tak!

— W Paryżu żyje pewna dziewczyna, która mi zawadza, nazywa się ona Fanchon Greffin i jest baletniczką w Operze. Ta dziewczyna musi być usunięta, za jakąkolwiek bądź cenę!

— O, to się dobrze słyszy! — zawołał Castelin. — Więc ta dziewczyna ma uledz nieszczęśliwemu wypadkowi..

— Jabym jej nie ratował, — szepnął lord William.

— Hm — baletniczka — to o nieszczęście nie trudno! Kiedy ona znowu występuje?

— Jutro w balecie „Błękitna grota.“ Jest to balet fantazyjny, ma w nim rolę wróżki kwiatów!

— Bardzo dobrze! Takie wróżki ukazują się zwykle w powietrzu, mogłaby wiec spadnąć i zabić się!

— I ja tak myślałem!

— Nie wiem tylko, jak się do tego zabrać! Kontrola w Operze jest bardzo ostrą, nie wolno nikomu wejść za kulisy. Trzeba nam wyszukać kogoś, kto pod jakimkolwiek bądź pozorem wślizgnie się na scenę. Może potrzebują do baletu statystów, młodych ludzi — ah — zdaje mi się, że znalazłem odpowiedniego człowieka! Tak, on to wykona...

Mówiąc to, zbliżył się Castelin do okna i otworzył je, a potem zawołał na Luiga.

— Słuchaj, — rzekł do wchodzącego chłopca, — chcesz zarobić sto franków?

— Czem? — zapytał Luigi krótko.

— Przetniesz drut nożycami, więcej nic, — rzekł Castelin.

— To za łatwe! Ale na drucie wisi może życie człowieka?

— Zgadłeś! Ale pomimo to — przetniesz go za sto franków!

— No, zdaje mi się, że to niebezpieczna rzecz, — zawołał z chytrym uśmiechem, — bo jeżeli by mnie schwytano, to i ja bym wisiał — nie na drucie, tylko na stryczku!

— Jak chcesz! Nie ty, to Mungo wyświadczy nam tę przysługę, — rzekł Castelin obojętnie.

— Kto mówi, że ja nie chcę! Ale sto franków za mało! Dajcie mi pięćset, a przetnę drut, chociażby na nim wszyscy królowie wisieli!

— Dam ci trzysta franków, — odezwał się lord. — Złożę je w ręce Castelina, on wypłaci je tobie po skończonej pracy.

— Zgoda! Powiedźcie mi teraz, gdzie ów drut i jakim sposobem dostać go pod moje nożyce!

— Jutro rano pójdziesz do sekretarza Wielkiej Opery i zameldujesz się, jako statysta teatru. Jestem przekonany, że przyjmą cię z przyjemnością, bo w balecie potrzebują dużo osób. Potem dowiesz się o baletniczkę Fanchon Greffin, i nie spuścisz jej z oczu. W jednej scenie występuje ona jako wróżka kwiatów — u góry znajduje się maszyna, do której przyczepione są druty, a na nich zawieszone baletniczki. Maszyna posuwa się i baletniczki unoszą się tym sposobem w powietrzu w rozmaitych kierunkach, rozumiesz?

— Tak, dalej!

— Musisz się starać o to, abyś był u góry, blizko maszyny — a co tam masz zrobić, to już wiesz!

— **Ale nie wpuszczą mnie na górę! Statysta nie ma** tam nic do roboty!

— Tak jest. Skoro więc wejdziesz na scenę, przebierz się w jakim kącie w twoje zwykłe ubranie, idź śmiało na górę i powiedz maszynistom, że jesteś bratem panny Greffin, i że chcesz stać przy maszynie i uważać, aby jej się nic złego nie stało...

— Doskonale! Wybornie! — zawołał Luigi, — widzę już, że zarobię trzysta franków. A z góry wiedzie chyba jaka droga na dach — tamtędy ucieknę potem!

I oczy chłopca błysnęły dziką żądzą przelewu krwi, były to oczy szakala!

— Podobasz mi się, — zawołał lord, — i jeżeli wykonasz dobrze nasze polecenie, to przyjmę cię za służącego. U kogo służysz obecnie?

— U hrabiego Barina, czyli u Ramira del Olivarez, albo u sławnego Pedra de Branco! I jestem szczerze przywiązany do mego pana i nie chciałbym go opuszczać, chyba, że pan mi lepiej zapłaci. Za pieniądze zrobię wszystko! Luigi Luccheni lubi złoto!

— No, o tem pomówimy jutro, pokaż najpierw, co umiesz! Gdyby cię na nieszczęście schwytano, to milcz, nie wymieniaj mego nazwiska! Nie siedziałbyś długo we więzieniu!

— Będę niemym jak ryba! Ale teraz muszę czemprędzej wracać do domu Czerwonej lady, bo mój pan mógłby się na mnie gniewać. Mungo słyszał, że mnie pan Castelin wołał!

— Mówiłeś w tej chwili o Czerwonej lady, — rzekł Corrigan, — kto to jest?

— Pewna bardzo piękna pani, milordzie, znajoma mego pana. Mieszka on teraz u niej, bo musi się obecnie trochę usunąć od świata...... Zdaje mi się, że my tu wogóle długo nie zabawimy, że wybierzemy się wnet za morze......

— Do Ameryki?

— Tak, i ja z moim panem pojadę. Stanę się tam milionerem! — zawołał Luigi, śmiejąc się.

— Albo cię też powieszą tam, — dodał Castelin. — Idź, mój chłopcze, jeżeli się dobrze sprawisz, dostaniesz trzysta franków. Schowam je do jutra!

— Postaram się o to, abyście panowie byli zadowoleni ze mnie!

Luigi wybiegł z domu Castelina, i lord Corrigan pożegnał także wkrótce starego złodzieja.

W domu Czerwonej lady oczekiwał już Mungo swego towarzysza, ciekawy, czego Castelin od niego chciał.

I temu murzynowi chodziło niezmiernie o pieniądze!

Luigi, dumny z swego zadania zamordowania Fanchon Greffin, opowiedział mu wszystko jak najdokładniej i pochwalił się nawet, że w razie wykonania zbrodni otrzyma trzysta franków.

— Ale nie potrzebujesz mi zazdrościć, Mungo, — dodał protekcyonalnie, — skoro otrzymam te pieniądze, poproszę mego pana o trzy dni urlopu i wtedy obejrzymy sobie obydwaj Paryż! Nie powiesz mi, żem skąpy! Oj, będzie to wesołe życie! Wypijemy szampana tyle, ile sam zechcesz, wpierw jednak musi popłynąć krew pięknej tancerki, panny Greffin!

Mungo szepnął coś niezrozumiale i obydwaj weszli do pokoju, w którym Pedro ich niecierpliwie oczekiwał.

ROZDZIAŁ LXXIII.

Wróżka kwiatów.

W Wielkiej Operze paryzkiej dawano dziś Błękitną Grotę po raz siódmy. Był to balet tak piękny, z takiemi bajecznemi dekoracyami i pełen tak niezwykłych a zachwycających tańcy, że ogromna cała Opera była za każdą razą na kilka dni naprzód wykupiona.

Za kulisami wrzało i kipiało, jak w ulu, niezliczone mnóstwo tancerzy i tancerek, statystów i robotników biegało tu i tam, na scenie zaś, w zagłębieniach i na górze pracowano z gorączkowym pospiechem.

Pierwsze dwa akty baletu były już skończone, teraz miał być najpiękniejszy.

Teraz miała się ukazać na scenie tajemnicza grota, ożywiona nimfami, rusałkami i wróżkami, które już to na ziemi, już to w powietrzu wykonywały najrozmaitsze tańce. Główną rolę odgrywała tu Wróżka kwiatów, która spływając z chmur, sypała kwiaty na ziemię.

(Ciąg dalszy nastąpi.)